



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## POGA WĘDKA

Jak gość starego autoramentu gawędę moję rozpoczynam od pogody, podobnie jak tańce od pieca.

Dobry ten stary zwyczaj, choć ośmieszony, ale mówcie, co chcecie—trudno o wygodniejszy temat, któryby się tak nadawał na wstęp do każdej rozmowy, jak pogoda; bo to niby rzecz zwykła, a jednak niezaprzeczenie zawsze zajmuje wszystkich i uwagę ogólną zwraca.

Przyznam się, że równie popularnej kwestyi nie znam wśród tematów ogólnoludzkich i specjalnych, a do tego tematów tak dawnych, jak świat, a mimo to, zawsze nowych i narzucających się codziennie wszem wobec i każdemu z osobna.

Ma on wszystkie stopnie i odcienie charakteru, znaczenia, wagi, począwszy od takiej nicości, jak śnieg zeszłoroczny (o ile nie zalega do wiosny warszawskich bruków z winy kompanii assenizacyjnej), a skończywszy na potopie, który był tylko skutkiem długotrwałych deszczów i nie-pogody.

Nie, nie należy lekceważyć tematu, mającego tyle podatnego materiału w sobie, tyle zresztą zasług w dziedzinie żywego i pisanego słowa; ileż rozmów, ile felietonów nie byłoby nigdy doszło do skutku, gdyby nie owa pogoda, o którą zahaczyć się najłatwiej, aby tylko, jak mówią Francuzi: *commencer par le commencement*.

Jakże zresztą nie wspomnieć o tym deszczu, który oblał pierwszy dzień poetycznego Maja i omal nie zepsuł wioślarzom projektowanej wyprawy na Bielany w trzysta osób z udziałem płci pięknej; cała radość byłaby poszła w ką,

cały humor zamoczyłyby strugi deszczu, cała flotylla uwięzionaby została w letniej przystani naszych wiślanych Jazonów, którzy popłynąć mieli przy dźwięku orkiestry, a wracać przy blasku księżycy, gwiazd i ogni bengalskich, upojeni świeżem powietrzem, wiosną, humorem złotym i tem, czego Bóg darmo nie daje w antałkach i butelkach.

Jednak „nasi dzielni wioślarze“ (ten epitet przyłgnał już nawet do tych członków towarzystwa, którzy nigdy w ręku wiosła nie mieli) nasi dzielni wioślarze nie dali się odstraszyć zachmurzonemu niebu; ze swoim prezesem, hr. Józefem Krasińskim, na czele popłynęli w kilkaset osób na Bielany i pierwszą majówkę urządzili sobie wbrew zawistnej aurze.

Bawiono się z taką pogodą, jakgdyby na niebie przynajmniej trzy słońca świeciły, zamiast jednego, i to za chmurną woalką.

Brzydki Maj rozpoczął swój żywot, jak niemowlę od płaczu i mazgajenia się; a ja chciałem powitać go madrygałem na cześć słońca, kwiatów i zieleni!..

Kwiecień zrobił mi trudną konkurencją swoją pogodą, był jednym z najpiękniejszych ze swoich dwunastu braci, i dlatego jego następcę rozplakał się może z zazdrości, a może w przecuciu, że mu wyższa instancja każe być brzydkim i dokuczliwym, ziebieć ludzi chłodem, sypanąć nawet śniegiem na tych, co w zbyt niem zaufaniu do wiosny futra swoje i paltoty odesłali już do... lombardu.

Nikomu ufać nie można w tych czasach niepewnych i zawodnych, począwszy od milionerów, a skończywszy na Maju i dyrektorach teatrzyków ogródkowych, którym przezorna władza każe składać 2,000 rs. kaucyi, jako zabezpieczenie możliwych pretensyi do nich po skończonym sezonie.

Wyczytałem gdzieś wiadomość, że warunek ten dopiero w przyszłym roku ma być obowiązują-

cym; mimo to tylko dwa ogródki wędrowna Me pomena zamieni na swoją obozową świątynię pod gołem niebem.

P.p. Puchniewski i Szymborski ze swojemi truppami ryzykują się w tym roku na letni pobyt w Warszawie; innych odstraszyły doświadczenia ostatnich lat kilku i warunek kaucyi.

— Może to i lepiej, jak powiada przy każdej sposobności mój przyjaciel, zdecydowany fatalista, który przyjął za zasadę godzić się z faktami dokonanemi.

Będę miał mniej sposobności „warzyć wodę“, przelewając co roku w naszej prassie na intencją potrzebnej reformy scen ogródkowych, ich rodzaju, sztuk wystawianych i wpływu na szerszą publiczność.

Na zmniejszonym współzawodnictwie zyska zapewne Teatr Letni w Ogrodzie Saskim, Teatr Nowy przy ulicy Królewskiej, i cyrk p. Salamońskiego, który w Szwajcarskiej Dolinie lada dzień trzaskać zacznie z bata i zachwycać tłumy tresowanym wieprzkiem i błazeńskim humorem słynnego pana Tanti.

Reżysserya naszej komedyi nie odkryła jeszcze tajemnic repertoaru na letni sezon, rozpoczyna go wszelako farsą p. t. „Zmykajmy“, która oby nie była wskazówką na przyszłość względem upodobań p. Tatarkiewicza, nabranych podczas ostatniej bytności w Paryżu.

Z poważniejszego repertoaru zapowiadają nam słynną „Francillon“ Dumasa, zachwycającą publiczność nadsekwąską; w Krakowie i we Lwowie sensacyjna ta nowość nie miała powodzenia w polskim tłumaczeniu w wielkiej części z powodu wadliwej lub nieodpowiedniej obsady.

Nasza reżysserya sprzeciwiała się pierwotnie wystawieniu tej sztuki, ale w końcu rozdała ją do nauki w takiej obsadzie, jaką jej względy chwili podyktowały; zobaczymy, czy komedya Dumasa, drukowana już w dwóch przekładach w Warszawie, nie ulegnie temusamemu losowi,



który ją „położył“ na scenie krakowskiej i lwowskiej.

W operze p. Russell, Amerykanka, odnosi tryumfy i zbiera kwiaty i oklaski, które ją obsypują liczni wielbiciele.

Primadonna, mojem zdaniem, ma szczęścia więcej, niż talentu, koloratury tyleż w spojrzaniach, co w głosie, a w każdej partyi odgrywa z wielką maestryą „sztukę przypodobania się,“ jakgdyby była i śpiewaczką, i pierwszą naiwną w jednej osobie.

Operetkę ominęła wizyta p. Zimajer, która, nasyćwszy Berlińczyków swojemi minkami i trylami, objawiła ochotę przetłómaczenia się z niemieckiej artystki znowuż na polską i wystąpienia gościnne w tejsamej Warszawie, którą opuściła na owym słynnym „osle,“ ofiarowanym jednemu z recenzentów głośno ze sceny.

*La donna è mobile, a la primadonna* przed inemni: trzy razy p. Zimajer zawiodła dyrekcyją, odkładając zapowiadane występy, aż nareszcie oświadczyła, że przed dwoma miesiącami nie będzie się mogła wyrwać z objęć Europy, która ją podobno przerzuci na teraz w objęcia Ameryki.

Niemieckie marki są z jakiegoś magnetycznego kruszcu bite, bo przyciągają więcej, niż papierowe ruble i „Pierścieniem rodzinnym“ połączyły artystkę z berlińską sceną i publicznością. Nie rozrywajmy tego związku; p. Zimajer przestała być „Mascottą“ naszej operetki; mimo to szczęście się od niej nie odwróciło.

Do Warszawy przybył artysta oryginalny i jedyny w swoim rodzaju; jest nim p. Fiszer, komik, który nabrał od kilku lat rozgłosu „polskiego Coquelin'a“ w wygłaszaniu monologów humorystycznych i przedstawianiu pewnych typów na estradzie koncertowej. Sam jeden popisuje się w scenach własnego pomysłu, zmieniając się w oczach publiczności na starego bakałarza galicyjskiej szkółki, prowincjonalnego żydka, który spełnia rolę faktora przy wędrownym trupie aktorów, starego kawalera, nienawidzącego płci pięknej, urzędnika, referującego swoje sprawy przy śniadanku i t. p.

Towarzystwo opieki nad ubogimi matkami i ich dziećmi uprosiło p. Fiszera, aby dał kilka przedstawień na dochód tej instytucji i w Piątek publiczność warszawska zobaczy „nowosć“ w estradowych popisach, pozna ulubieńca galicyjskiej publiczności, który rozśmiesza swoim humorem cały Kraków i Lwów, ilekroć występuje publicznie.

Na brak gości Warszawa w tych czasach skarżyć się nie może; przed niedawnem złożył nam wizytę japoński książę Komatsu ze swą małżonką i licznym orszakiem dworzan. Krewny Mikada umyślnie zбочzył z drogi, aby poznać syreni gród w przejeździe z Moskwy do Paryża, i był nim zachwycony.

Dzienniki nasze zajmowały się szczegółowo pobytom i osobistością japońskiego dostojnika, który był nawet przez godzinę sam osobliwością na wystawie sztuki i starożytności w Hotelu Europejskim; książę przypatrywał się wystawionym zabytkom, a jemu przyglądała się liczna publiczność, sprawdzając: czy jest podobnym do porcelanowych figurek i malowanych Japończyków na wachlarzach.

Dzięki temu, wystawa, kończąca swój żywot, rozbudziła nowe zajęcie wśród publiczności i niechęć ks. Komatsu przychylił się do zwiększenia dochodu, który i tak był znaczny, skoro przez czas trwania wystawy na korzyść Towarzystwa Dobroczynności około sześciuset osób dziennie ją zwiedzało przez kilka tygodni z rzędu.

W Niedzielę zamknięto drzwi czasowego Muzeum, a w Poniedziałek rozpoczęto odsyłanie okazów właścicielom. Podobno Towarzystwo Dobroczynności od 4,000—4,500 rs. czystego dochodu z tej wystawy zgarnęło do skarboxy jałmużniczej, dzięki szczęśliwemu pomysłowi i energii wykonania całego projektu hr. Józefa Krasieńskiego, przy pomocy dzielnego komitetu.

Pieniądze te bardzo się przydadzą, bo Towarzystwo ma zaległości; coraz cięższe przybywają mu obowiązki, coraz więcej biedy wspierać musi, a obecnie potrzebuje funduszy na budowę nowego przytułku dla starców przy ulicy Freta.

I tak dziwić się można, z kąd w dzisiejszych warunkach filantropia czerpie swoje środki dobroczynne; tajemnica to zacnych serc i tego poświęcenia, którem Warszawa zawsze się odznaczała.

Jakkolwiek bardzo nieznaczne objawy świadczą tu i owdzie o chwilowym polepszeniu się naszych warunków przemysłowego ruchu, stękamy zawsze jeszcze jednako na złe czasy; wszyscy się ściskają, jak mogą, niektórzy nawet więcej, niż można. I tak, nasze towarzystwo tramwajowe—właściwie nie nasze, lecz belgijskie, tylko na naszym bruku—zaprowadziło cały szereg zmian, by oszczędzić rocznie... 17,000 rs. Oszczędności te wszelako dały się zrobić zmniejszeniem służby, powiększeniem pracy, przeciążeniem obowiązkami oficyalistów, zmniejszeniem płac, co wszystko razem nie wpłynęło korzystnie na obsługę publiczności. Losy konduktora czy woźnicy przy tramwajach nie były dotąd wcale zazdrości godne; odtąd staną się jeszcze gorsze i tylko z ostatniej potrzeby najmować się zechcą biali murzyni do tramwajowych wozów, by cały dzień pracować, nie dojeść, nie dospać i pozostawać ciągle pod grozą kar za najmniejsze uchybienie. Często dla koni miewa się więcej względów, niż dla ludzi, bo za konia trzeba zapłacić na targu, a od zniesienia niewolnictwa w świecie, człowiek nic nie kosztuje i nie ma żadnej ceny ustalonej.

Na przyszłej wystawie higienicznej która już za dwa tygodnie ściągają zacnie tłumy ciekawych na Plac Ujazdowski, wartoby było pomieścić statystyczne i porównawcze wykazy normalnej siły naszego robotnika w stosunku do zajęć i spełnianej pracy; dowiedzielibyśmy się może ciekawych rzeczy, o których dzisiaj nic nie wiemy.

Wystawa zapowiada się zajmująco i w dużych rozmiarach; potwierdzi ona lekceważone u nas zdanie, że przy dobrej woli i energii, można przeprowadzić bardzo trudne projekta do celu, byle inicjatywa nie na samych słowach się opierała.

Gdyby człowiek jakim cudem mógł tylko to mówić, co zrobił, albo co zrobi faktycznie, iluż ludzi byłoby niemych przez całe życie!..

Niesłyszeliśmy wszystkich pięknych frazesów, zapowiedzi, pomysłów, przyrzeczeń, postanowień i zamiarów; życie straciłoby wiele na oroku, ale zyskałoby na treści. Szkoda, że natura nie poddała niewolniczo języka kontroli ludzkiej energii, rozsądku i prawdziwej woli czynami stwierdzanej.

Słowo nie wylatywałoby z ust wróblem, a nie powracało wołem.

Kiedyś gdy przyjdzie do poprawnej edycji tego świata, może takie zmiany z wieloma innymi uwzględnione zostaną; nie wszyscy wszelako chcielibyśmy prawdopodobnie żyć w tych warunkach, zanadto... obowiązujących.

Trzebaby się liczyć skrupulatniej ze słowami; wówczas felietonista, jak ja, nie naraziłby sobie tak łatwo nadobnych Krakowianek, które się podobno obraziły na mnie śmiertelnie za uwagę, że mężczyźni stosunkowo są przystojniejsi od kobiet w podwawelskim grodzie; ależ to nie znaczy jeszcze, aby wszystkie były nieładne!.. Ja też przypuszczam, że tylko same brzydkie znalazły w moich niewinnych słowach powód do irytacji; inne spojrzwały w lustro i uśmiechnęły się najpierw do siebie, potem do mnie, aby przekonać śmiałka, że się pomylił i że pod urorkiem tego uśmiechu nadwiślańskich syren gotów jest przysiądź, jako sam podobny jest raczej do pawiana w porównaniu z ładną Krakowianką.

Mój Boże, przekonałem się znowu, że najsilniejszą ambicyą kobiet po wsze czasy, będzie ambicya ich... wdzięków, i że prababką Ewy musiała być chyba boska Venus, bo w praprawniczkach objawiają się prawem atawizmu bardziej charakterystyczne rysy tej ostatniej.

Gdybym miał w tym rodzaju trochę więcej poetyckiej weny, napisałbym na przeblaganie obrażonych Krakowianek text do mszy konkursowej, o który warszawskie Towarzystwo Muzyczne rozpięło odezwę do poetów naszych, ofiarując im za to, oprócz rozgłosu, dwie nagrody w kwocie 25 i 15 rs.

Mamy bowiem dwa nowe konkursy, literacki i muzyczny; literacki ma ostateczny termin do

15-go Czerwca r. b., muzyczny do 1-go Grudnia. Msza winna być napisaną na cztery głosy mieszane z towarzyszeniem organu; dopuszczają się partye solowe. Pierwsza nagroda wynosi rs. 100, druga rs. 60.

Dobry to pomysł i oryginalny, szkoda tylko, że nie uwzględniono w konkursie łatwych i przystępnych kompozycji dla organistów wiejskich, aby im przysporzyć repertuaru i wyrugować niemelodyjne często śpiewy po kościołach; przydałyby się takie mszy sielskie w łatwym układzie dla ludowych śpiewaków.

W Krakowie miałem sposobność słyszeć chór wieśniaków z Bierzanowa i zadziwiło mnie wykonanie zbiorowych śpiewów przez siermiężnych chórzystów. Gdyby powstawało więcej takich wiejskich „Lutni“, kształciłyby się i głosy, i estetyczne instynkta w tym kierunku wśród ludu.

Oile mi wiadomo, nasza „Lutnia“, rozwijająca się pod każdym względem coraz pomyślniej pod kierunkiem swojego dyrektora p. Piotra Maszyńskiego i zyskująca członków czynnych i honorowych z każdym niemal tygodniem, ma zamiar wydać wkrótce śpiewnik kwartetów nakładem zasłużonej firmy Gebethnera i Wolfa, w którym przeważnie miejsce znajdą piękne melode ludowe i stare piosnki z lat dawnych.

Widziałem w zbiorach pozostałych po s. p. Żupańskim, znanym tak zaszczytnie księgarzu i wydawcy poznańskim, bardzo ciekawą i zajmującą kolekcją nut, w których zebrano niejako w jedną całość, nietylko pamiątkowe utwory najpopularniejsze swego czasu, ale ułożono je w chronologicznym porządku takim, aby dawały pojęcie o rozwoju muzyki polskiej. Miało się to kiedyś ukazać w druku, ale śmierć wydawcy przeszkodziła zamiarom i spore Album, ważne, jako przyczynek do historii muzyki u nas, pozostało dotąd w manuskrypcie u rodziny.

Może ta wiadomość przyda się komu w gronie naszych melomanów.

Ruch wydawniczy ożywia się u nas nanowo; książek dobrych i potrzebnych przybywa ciągle, byle tylko czytelnictwo wzrastało w tym samym stosunku. Z ostatnich nowości księgarskich zdążyłem dopiero przeczytać spory tom notatek dziennikarza z „Wycieczki na Wschód“, odbytej przez p. Antoniego Zaleskiego w towarzystwie Henryka Sienkiewicza i znanego malarza p. Kazimierza Pochwalskiego. Trójca podróżników pod koniec roku zeszłego udała się z Krakowa przez Bukareszt, Ruszczuk, Warnę do Konstantynopola. Sienkiewicz zbierał materiały i wrażenia do dalszego ciągu „Potopu“, który w „Panu Wołodyjowskim“ uwieńczył ma trylogią, jedyną w naszej belletrystyce, zanim zabierze się do pisanja współczesnej powieści p. t. „Homo novus“; (zdradza tajemnicę autorską, ale mnie do tego uprawnia obowiązek felietonisty, który powinien starać się o najświeższe i najbardziej zajmujące wiadomości). Pochwalski zapełnił tekę szkicami rysunkowymi widoków i typów charakterystycznych, a p. Zaleski, jako dziennikarz z powołania, spisywał uwagi o krajach i ludziach Półwyspu Bałkańskiego, który dzisiaj w świecie politycznym stoi na oczach całej Europy i zajmuje ją najbardziej.

Z własnych spostrzeżeń i z materiału swych poprzedników autor złożył całość bardzo zajmującą i ciekawą dla polskiego czytelnika, pisaną stylem wprawnego felietonisty, bez pretensji do poważnego traktatu, przeznaczoną dla szerszych kół inteligencji naszej.

*A beau mentir, qui vient de loin;* p. Zaleski jednak nie korzystał z tego przywileju podróżników, otwarcie przyznał się przy każdej sposobności, gdzie, kto i kiedy pomógł mu do skreślenia tego zbioru szkiców ze Wschodu z uwzględnieniem głównie społecznej i politycznej strony zwiedzanych krajów. Trudno wymagać od autora, aby po kilku-tygodniowym pobycie wśród Rumunów, Bułgarów i Turków, dawał nawskroś i całkowicie oryginalne o nich studium, ale uznać trzeba załugę, że zadania swego nie lekceważył, z dobrych tylko i poważnych źródeł korzystał, własną obserwacją dopełniał zebrany materiał i w ten sposób dał nam książkę na cza-



sie, obfitującą w mnóstwo szczegółów mało lub wcale nieznanym.

Listy „Z Wycieczki na Wschód“ drukowane były w felietonach *Słowa*, obecnie wyszły w książkowym wydaniu i będą miały zapewne licznych czytelników, bo oprócz formy i treści ponętnej, posiadają zarazem cechę aktualności. Autor frazeologii nie nadużył, nie chciał rywalizować ze swymi poprzednikami w stylu poetycznych opisów Bosforu i Konstantynopola; wolał poprzestać na charakterystyce stosunków, ludzi, wypadków, niż na nowym jaskrawym koloryzowaniu powtarzanych tyle razy rysunków. Nieuprzedzona krytyka, która dzieła się trzyma, nie osoby się czepia, musi mu to za zasługę poczytać.

Jakkolwiek i to do tajemnic jeszcze edytor-skich należy, pozwalam sobie uprzedzić innych wiadomością o projekcie powziętym przez „Warszawską Spółkę wydawniczą“, który niebawem już urzeczywistnionym zostanie; oto zamierza ona wydać w możliwie najlepszym tłómaczeniu „Wybór pism Henryka Heinego“, wiersze i proza. Wydawnictwo ma być na trzy serye podzielone; do pierwszej wejdą: „Obrazy z podróży“ i „Księga pieśni“, najcenniejsza skarbnica liryki nie mieckiej. Za zasadę przyjęto eklektyzm w wyborze tłómaczeń; tylko najlepsze wejdą w skład zamierzonego wydania, resztę powtórnie przelożyć mają wezwani do tego współpracownicy.

Tymczasem poprzestaję na tej niedyskretnie wzmiance, która poprzedza formalne ogłoszenie wydawców; uważałem, że o tym projekcie wydania Heinego, najwłaściwiej było wspomnieć *im wunderschönen Monat Mai, wo alle Knospen sprangen...*

Quis.

## NA RUINACH.

POWIEŚĆ

przez

Zygmunta Sarneckiego.

(Dalszy ciąg).

Nie zmarnował tysiąca florenów, chociaż w mieście bawił się doskonale; przywiózł bowiem powieść hrabianki, wydaną istotnie bardzo ładnie i plikę gazet z recenzjami. Wszystkie jednomyślnie konstantowały talent, a pomimo zastrzeżeń, mniej więcej pobłażliwych lub surowych co do ducha utworu, i krytycy różnych stronnictw, różnych odcieni i kategory literackich, witali młodą autorkę zyczliwie, zachęcając do dalszej pracy.

Jakim sposobem nasi arystarchowie, niepocho-pni do rychłego zdawania sprawy z nowego dzieła, tak gwałtownie i nagle wypowiedzieli swoje zdanie?... to już było tajemnica zabiegów majora. Przebiegły lis, przy swej pozornej naiwności, tak umiejętnie zagrał na słabych strunach przeróżnych ludzkich próżności, że zdobył w kilka dni to, na co prawdziwa zasługa czeka nieraz długie lata, a nawet niekiedy wcale doczekać się nie może. Posłużył mu po części fortel dość pospolity, ale niemal zawsze skuteczny. Chociaż wydrukował powieść Klary własnym kosztem, uprosił jednak jednego z pierwszorzędných wydawców, aby pozwolił położyć swoją firmę na tytułowej kartce książeczki. Ta więc, ukazała się na widok publiczny pod patronatem, dającym pewną rękojmię, a wyrazy: „Nakładem J. Waltera i S-ki“ otworzyły jej nawet takie gabinety redakcyjne, które dla publikacji wszystkich drobnych rybek edytor-skich bywają zamknięte.

Generał, uszczęśliwiony, ścisnął ręce nadzwyczajnego posła, który tak dzielnie załatwił misję sobie powierzoną. Klarcia naprzemian kraśniała i bladła. To zwycięstwo, tak łatwe, a tak wielkie i zaszczytne, upajało dziewczętkę. Radości podobnej jeszcze nigdy nie zaznała. Odczytywała po dwa, po trzy razy każdą pochwałę. Po odczytaniu rzuciła się ojcu na szyję i całowała

go z uczuciem głębokiej wdzięczności. Majorowi ofiarowała brylant zdjęty z małego paluszka. Rozpromieniona, zgorączkowana, porwała exemplarz powieści, dzienniki... i pobiegła do matki.

Hrabia pędził za nią, wołając:

— Naprzód pokaż recenzje... naprzód recenzje! Tak się też i stało.

Sprytnie dziewczętko ułożyło krytyki w dyplomatycznym porządku. Zaczęła od najpochlebniejszych i najlżej dotykających drażliwych stron utworu. Poczem jedną po drugiej przedstawiała pani Eleonorze, zdziwionej, zaniepokojonej trochę, ale w końcu zachwyconej tyłu wymownymi dowodami rzeczywistego tryumfu, przyjemnie lechącego miłość własną rodzicielki. Po recenzjach przyszła kolej na powieść samą, przedstawiającą się zewnętrznie—w swych jasno-żółtych okładkach, z dwubarwnym tytułem—nader dystygowanie i wykwintnie, jak na wysoce arystokratyczną autorkę przystało.

Klarcia, uprosiła matki, aby odłożyła przeczytanie na później.

Po takim radosnym prologu ujemna treść dzieła, poznana w nocy—bo w nocy dopiero hrabina powieść odczytała—nie wydała się generałowej zbyt zdrożną, zwłaszcza, że wielu rzeczy pocziwa kobieta nie zrozumiała. Zmartwiła się wprawdzie śmiałym realizmem, w jakim przedmiot był traktowany i kilku zdaniami jaskrawo antireligijnymi, lecz i tu kompromis z sumieniem wygrał złą sprawę ukochanej jedynaczki. Hrabina myślała sobie w duchu:

— Opatrzność najwyższa, przeze mnie goręciami modłami ublagana, fałszywe poglądy z czasem w szalonej głowie odmieni, a rozgłos zostanie i utoruje memu dziecku drogę do wybitnego moralnego stanowiska w społeczeństwie, w którym materialnie... z praw urodzenia i majątku... już stoi na świeczniku.

Biedna, w wybuchu miłości i uwielbienia dla córki zapomniała o swojej mrówczej pracy pisarskiej—bez uznania—którą pragnęła rehabilitować pyłem przysutą tarczę herbową, mazać przestępstwa męża, wkupując się zarazem przypomnieniem zasług dawnych w serca ziomeków. Przywiązanie i dumna macierzyńska ją zaślepiała; nie spostrzegła zatem, że rozpoczynając się działalność Klary—tak gwałtownie zareklamowana—rozbić musi kruchy zaczątek jej cichych usiłowań restauracyjnych. Nie domyśliła się, że podnoszone przez nią ruiny, burzy dłoń jej najmiłsza.

Przesilenie w sprawie autorstwa Klarczy, którego hrabia—ze względu na żonę—lękał się bardzo, przeszło nadspodziewanie łatwo i łagodnie, bez rekriminacji i wyrzutów. Generał tedy, czyniąc zadość urzędowemu wezwaniu—wyruszył w podróż zadowolony, wesół, szczęśliwy, polecając córce, aby tylko zbyt wcześnie nie zabierała się do nowej pracy.

— Bo—powtarzał, prawie już na wsiadaniu—sława przyjemna, ale zdrowie ważniejsze. Przyrzecz mi zatem, że nie przerwiesz odpoczynku, dopóki nie przyjadę.

— Przyrzekam, że nie zacznę pisać, aż po twoim powrocie, kochany papo.

Klarcia w swoich własnych oczach urosła; zwłaszcza, że spostrzegła, iż wpływ jej znacznie się zwiększył i rozszerzył. Dawniej traktowano ją jak rozpieszczone dziecko, jako dziedziczkę wielkiego imienia i kilkamilionowej fortuny; dziś pewien rodzaj czci ją otoczył, jakby już naprawdę skroń jej uwieńczoną została wawrzynem chwały. Bez tego, czem ją los i przypadek uposażył, bez nazwiska i majątku, wieniec laurowy nie wieleby może znaczył w oczach ludzkich, ale jedno przy drugim... o! to całkiem co innego! Domownicy i sąsiedzi zaczęli ją uważać za istotę niezwykłą, wyższą od wysokiego poziomu, do którego oddawna prawie, rodzina—władająca Zamkiem Bereźnickim—należała, górując nad innymi swą starożytnością, swem przeszłym i teraźniejszym znaczeniem. W okolicy mówiono obecnie o panience—nieprzypuszczając jak rozkładową siłę talent jej posiada—niby o granitowym monumencie geniuszu, niby o piramidzie niebotycznej. Ubóstwienie to, chociaż szczere i naiwne, nie mogło być gorącym i serdecznym, to jest takim, jakim massy płoną dla poety; bo

dziewczętko nie było poetą, nie rozgrzewało cieplem szlachetnego słowa. Przeciwnie, Klarcia raczej gasiła duchowe płomienie.

Wychowanie, a i rozsądek wrodzony, dozwoliły jednak Klarze, przy całej dumie i miłości własnej, zachować miarę i takt, którego—niestety—brak wielu dorobkowiecom, spanoszonym powodzeniem literackim. Ci—w swoim rodzaju parweniusze—oszołomieni pierwszym lepszym sukcesem, stają się podobnymi do wyśmiewanych przez siebie karykatur pseudo-arystokracji prowincjonalnej, w szeregach której Ciuciunkiewicz, dlatego, że mieszka w pałacyku, rodzi się z Wybiórkowskiej i lokai ubiera w liberyą, za nie uważa Stutunkiewicza, posiadającego dworek, rodzającego się z Pędziszewskiej i obywatelą się bez srebrzystych galonów i herbowych guzików na odzieży swoich służących. Bo to nie dość, że Bóg łaskaw pozwolił mu być Ciuciunkiewiczem, ale nadto matka jego była Wybiórkowska. Wybiórkowska, co to... No! nie z tych pospolicich Wybiórkowskich!... Tak i w literaturze—niby postępowej i liberalnej,—kogo rodzi ureklamowana książka, zartuje z biedaka, co kilka, lecz niepochwanych, napisał; chociaż bardzo często to ostatnie więcej od pierwszej przyniosły korzyści. Kto zaś zdoła się uwiesić u klamki redakcyjnej peryodycznego wydawnictwa, liczącego prenumeratorów na tysiące, choćby był prostym reporterem tylko, może się wydać jako balon i ponie-wierać ludźmi talentu i pracy. Taki współobywateli swoich—z miasteczka, w którym ujrzał światło dzienne—uważa za coś głupszego od stadła owiec. Bo ze wszystkich arystokracji tą, co najboleśniej daje się dziś we znaki—nie bacząc na zniesione przyzwileje—jest pono arystokracja... nie wiem jak ją nazwać... mniemam bowiem, że nie godzi się chyba chrzcić jej mianem arystokracji rozumu. Urodzony powiada:—„Nie urodziłeś się z klejnotem szlacheckim w kolebce, jednak przeto jesteś człowiekiem.“ Bogacz—może nie mówi—ale myśli w duchu:—„Nie masz majątku, pomimo to jesteś człowiekiem.“ Tylko pyzalek uczony lub utalentowany twierdzi, głosi, wierzy:—„Nie posiadasz swoich zdolności, nie umiesz tyle co ja, więc jesteś zwierzęciem.“ A jednak, któż na świecie tyle umie, aby mógł pomiać zdrowym chłopskim rozumem niejednego z prostaczków!

Klara posiadała zbyt wiele sprytu, aby w ten sposób ośmieszać swoją świeżą wielkość.

Jeszcze generał nie wrócił, kiedy do Brzeźnicy zawitała jesień, równie piękna i pogodna, jak ubiegłe lato.

Klarcia dotrzymywała danego ojcu przyrzeczenia, nie zabierając się do pisania nowego dzieła, chociaż—zachęcona pierwszym powodzeniem—układała w głowie kanwę do drugiego utworu. Czytywała dużo, podpatrywała najbliższą sobie naturę, niepojmując, jak dawniej, zdrowych jej obrazów, assymilując zaś wszelkie chorobliwe oznaki, duszy swej pokrewne. Przytem wychodziła i wyjeżdżała często—zawsze ciepło ubrana; czuła bowiem, że powietrze i ruch wzmacniają siły, których tyle potrzebowała przy nieustannym zużywaniu ich... nerwami. Tak upływał dzień za dniem, jednostajnie lecz nie nudnie. Tę monotoność przerwały odwiedziny, dla Klary—równie jak dla wszystkich mieszkańców zamku—zupełnie niespodziane.

Było to jakoś pod wieczór, słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy jeden z gracyalistów dworskich, starzec siedmdziesięciokilkolenny, który znał całą rodzinę swoich panów i wiedział o wszystkich jej powinowactwach i kolligacjach, przybiegł zdyszany z miasteczka, prosząc przez kamerdynera pani Eleonory o posłuchanie. Hrabina, zawsze do podwładnych uprzejma, wyszła zaraz do ex-officyalisty, chociaż właśnie porządkowała nieznaną dotąd genealogiczno-historyczne materiały, posłużyć jej mające do napisania bezimiennnej broszury—jak zwykle—o zasługach wielkiego rodu na Brzeźnicy.

— A co tam, mój pocziwy Zaremba?—spytała staruszka.

— Proszę jaśnie pani, panicz... chciałem powie-dzieć... hrabia Antoni, syn hrabiego Stanisława, zatrzymał się w miasteczku w przejeździe do



Luboszni. Koło u powozu się złamało... Zanim naprawią, czasu dość upłynie; będzie musiał czekać do jutra... a ucziwszy uszy jaśnie pani... zdaje mi się, że wstyd byłoby, gdyby dziecko naszej familii, tu w Bereźnicy, w gnieździe swoich przodków, miało nocować u żyda, w austeryi...

— A czy Zaremba pewny, że to hrabia Antoni?  
— Jak mi Bóg miły, jestem pewny! Proszę jaśnie pani, to jakby go kto z którego z naszych portretów wykroił. Kiedym go spotkał na rynku i spojrziałem, ażem się przeżegnał... Myślę sobie: duch Wojewody... Kubek w kubek tesame oczy, tensam nos i takisam wąs pokretny... Tak, tak... niezawodnie hrabia Antoni.

— Czy sam?... czy nikt mu nie towarzyszy?  
— Sam jeden, jak palec... bez lokaja nawet.  
Generalowa zamyśliła się głęboko.  
— Posłać jednego z rezydentów z ustnem zaproszeniem... nawet list napisać—na nic się nie przyda... nie przyjedzie.

Usiadła w starym, poręczym, z dębu rzeźbionem krzesle, obitem skórą korduańską i głowę oparła na rękę.

— Boże! czy to Ty mi go zsyłasz?!  
Westchnęła.  
— Tak blizką jestem moich marzeń... tak blizką—i tak daleką!

Po chwili powiedziała głośno, z mocnym postanowieniem:  
— Sama pojedę.

Gracyalista, który dotąd milczał, zatarł ręce radośnie, szepejąc: „Bogu chwała!”

— Niech Zaremba będzie tak dobry, zbiegnie na dół i każe zaprzęgać... Natychmiast!

— A! niechże rączki jaśnie pani ucałuję — zawołał starzec.

I istotnie, złożywszy gorące pocałowanie na ręce hrabiny, uklonił się trzykrotnie nisko i wybiegł.

Generalowa przechadzała się po komnacie, widocznie wzruszona.

— Coby na to mój mąż powiedział?... Nie wątpię, że zgodziłby się niezawodnie... Święte prawa gościnności uszanować umie, a na naszej ziemi każdy naszym gościem... Ręczę, że zrobiłby to samo, co ja uczynię.

Zastanowiła się, wciąż pogrążona w głębokich dumaniach.

— Gdyby jednak Antoś odmówił, gdyby nie chciał zawitać pod dach znienawidzony przez swego ojca?!

Ruchem ręki zdawała się odganiać tę myśl przykrą.

— Nie, nie... to być nie może... kobiecie nie odmówi.

Pełna ufności, nagle wstępującej do serca, rozjaśniła oblicze i widocznie zaczęła marzyć przyjemnie, bo uśmiech lekko rozwarł jej usta.

Po niejakiś czasie wszedł kozaczek, zawiadamiając, że powóz zajechał.

Pani Eleonora zadzwoniła na pannę służącą, a kiedy ta się ukazała, poleciła jej przynieść okrycie i kapelusz. W chwilę potem była ubrana. Wychodząc, już w drzwiach prawie, rzekła:

— Powiedzieć panience, że wrócę najdalej za godzinę.

Zamyślona zeszła po schodach, zamyślona wsiała do powozu.

Kozaczek, raźnie wskoczył na kozioł, mówiąc do stangreta:

— Ruszaj!

Do miasteczka nie było daleko, chociaż droga zataczała dość szerokie półkole, biegnąc naprzód pod górę, przez dąbrowę, a następnie, wyginając się skrętem naprawo i zniżając po pochyłości pagórka, znów nadół, ku łąkom otaczającym zamek i ciągnącym się aż pod same mury domostw żydowskich.

W jednej tylko gospodzie w rynku mógł stanąć podrózny, choć cokolwiek dbały o wygodę. Przed nią zatem kazała hrabina konie zatrzymać.

— Idź — rzekła do lokaja, oczekującego już na rozkazy przy drzwiczkach powozu — i poproś tu do mnie pana... pana... który po południu przy-

był tu pocztą... koło mu się złamało... Rozumiesz!

— Rozumiem, jaśnie pani — odparł zwinny chłopak i znikł w ciemnym, głębokim podsieniu austeryi.

Po chwili wyszedł z karczmy młodzieniec; tak podobny do portretów familijnych, że nie uległo wątpliwości, iż Zaremba się nie pomylił.

— Pani mnie wezwała? — zapytał, zbliżając się do powozu i uchylając grzecznie kapelusza, szerokiemi rękami rzucającego cień na jego jasne czoło.

— Wszak mam przyjemność mówić z hrabią Antonim...?

— Tak, pani.

— A to nazywaj mnie stryjenką i siadaj przy mnie. Pojedziemy do zamku, gdzie wygodniej będzie ci przenocować, niż tutaj.

— Pani... stryjenko... Doprawdy nie mam słów na wyrażenie ci mojej wdzięczności, zwłaszcza, że raczyłaś się sama pofatygować... ale... śpieszę do ojca... więc twego uprzejmego i nader dla mnie miłego zaproszenia przyjąć nie mogę. Muszę wstać o świcie...

Gromadka bachorków obojej płci otoczyła ekipaż, a choć nie rozumiała wyrazów, mówionych poirancuzku, przysłuchiwała się ich dźwiękom ciekawie. Grono ludzi starszych, kupców i arcydusz, stanowiących patrycyat żydowski małego miasteczka, z futrzanymi czapkami w rękę, trzymała się w pewnej odległości, szwargocząc pocichu między sobą, co to musi być za dostojny *puryc*, po którego aż sama jaśnie hrabina przyjechała...

— Proszę cię, nie odmawiaj — nalegała generalowa, wyciągając do niego rękę. — Męża mego niema w domu... Chociaż, wierząc, że gdyby był, zmusiłby cię niezawodnie do tego, o co proszę. Spodziewam się... że to, cobyś zrobił przymuszony przez stryja, uczynisz dobrowolnie dla stryjenki.

Antoni zrozumiał, że dalszy opór byłby niedelikatnym i niewczesnym, uściśnął zatem podaną rękę i szepnął:

— Jestem prawdziwie szczęśliwy, że dobroć i uprzejmość pani daje mi sposobność poznania bliżej stryjenki, dotąd z opowiadań mi tylko znanej, a dla której, wraz z moim ojcem, żywimy najgłębszy szacunek.

— Nie traćmy więc czasu. Jesteś zmęczony drogą, potrzebujesz wypoczynku... Rzeczy i powóz zabierze jeden z dawnych naszych officialistów który umyślnie po nie przyjedzie. — Zwróciła się do stojącego bliżej właściciela gospody, poważnego Izraelity o długiej brodzie. — Panie Silberstein, wszystko, co do hrabiego należy... Zarembie. — Wskazała synowcowi miejsce obok siebie. — A teraz prędko... do zamku!

• Konie z miejsca ruszyły klusem.

W godzinę potem Antoni siedział przy wieczerzy, po prawej ręce gospodyni domu, naprzeciw Klary, z ciekawością przyglądającej się stryjecznemu bratu.

Młodzian był w całym znaczeniu tego wyrazu przystojnym mężczyzną. Zdrowie duszy i ciała malowało się na jego licu ogorzale. Czoło tylko jaśniało niezwykłą białością. W oczach ciemno szafirowych widną była moc ducha i siła woli niezłomnej. Krótko ostrzyżone gęste włosy jeżyły mu się nad skroniami, przedłużając i tak już ściągły owal twarzy. Duży, orli, ale kształtny nos schylał się nad wąs bujny, jak Zaremba się wyraził — pokretny, ocieniający wargi kraśne, niby dwie zgrubsza tylko oszlifowane gałązki koralu. Głos jego niski, brzmiał cicho i mile w ucho wpadał, chociaż czuć było, że kiedy zechce zdoła zagrznieć donośnie wyrazami i tonem rozkazu lub komendy. Mówił mało; więcej słuchał i uważał. Każdy ze współbiedników — zasiadających przy szarym końcu stołu — łatwo mógł odgadnąć, że porównywa to, co słyszał o mieszkańcach Bereźnickiego Zamku, z tem, na co teraz sam patrzył.

Klara była także piękną... ale pięknością odmienną zupełnie.

Pięknosc jej polegała głównie na niezmiernie inteligentnym wyrazie oczu czarnych, niedużych, ale błyszczących jakimś szatańskim połyskiem i

śmiałością (że tak powiem) myślową, łączyła się bowiem ona z obawą i wrodzoną skromnością dziewczęcą, tak, że oczy jej wyzywające, wtedy kiedy zapalały się ogniem dyskusyi... po chwili, pod spokojnem, łagodnem, lecz obcem dla niej i nowem wejrzeniem Antoniego zasłaniały się powiekami i długimi — jak jedwab' miękkimi — rzęsami. Równocześnie biała twarzyczka kolorowała się lekkim odcieniem krwi, podobnym do rumieńca. Nic zmysłowego nie było w tej istocie wątłej i słabej... a jednak, żrenice zarzyły się jak węgielki, a słowa wezbrane namiętą lub złośliwą swadą, płynęły gwałtownie i szybko z ust niekiedy blade różowych, jak płatki zwarzonej mrozem centofolii, niekiedy zaś purpurowych, jak łono rozkrojonego grautu.

Dziś osobiście zdawała się podrażnioną tajnym bodźcem współzawodnictwa. Rozmawiając, szukała chluby ze swoich przekonań. Wyglądała je z mniejszym niż zwykle umiarkowaniem — a w mowie powściągliwszą była zawsze niż w piórze; — chciała koniecznie wplątać kuzyna w szermierkę polemiczną. Zapominała się czasami do tego stopnia, że przekraczała granice, nie tylko swojej, przesadnej — ale nawet powszedniej, każdą dobrze wychowaną osobą obowiązującej — grzeczności.

Matka, dotknięta tem boleśnie, przywoływała ją do porządku.

— Klarcu! Klarcu!... co Antoś o tobie pomysli! — mówiła, nie tając niezadowolienia.

Major zaś szepnął pocichu swemu sąsiadowi, drugiemu rezydentowi, na ucho:

— Nasza panienska w takim dziś wieczór humorze, jakby ją kto święconą wodą pokropił.

Antoni wyzwania rzucanego mu przez stół w dowcipnych pociskach nie przyjmował: nie chciał walczyć — czekał... W skromności bowiem, nagle zdradzającej się na obliczu dziewczęcia, znajdował to coś... „wiecznie kobiecego”, co naj-excentryczniejszym naturom niewieścim wraca, choć nakrótka, wdzięk i czar im właściwy. Klara go zajmowała; bo koniec końców bystrość, choćby najfałszywszego umysłu, jest zawsze interesującą. Przytem, nawet powierzchowność jej, odrębna, oryginalna a urocza, oddziaływała nań atrakcyjnie.

Przed wyjazdem z Warszawy przeczytał jej powieść. Nie chciał wierzyć, aby to, co zawierała wypłynęło z serduszka i główki tak młodej osoby. Pragnął więc poznać tajemnicze rozwiązanie zagadki, jaką mu się wydawała ta zamącona dusza.

— Dlaczego tak strasznie zamącona? — pytał się siebie w duchu. — Wszakże wychowała ją matka zacna, poważna, wierząca... może trochę dumna, ale taka dobra, tak całą duszą pragnąca zmazania win i przestępstw nieobciążających jej własnego sumienia. Wprawdzie dziwnie niewłaściwy wybrała środek potemu, bo pisanie broszur panegirycznych na cześć bohaterów dawnych czasów, jakby właśnie stare ich dobre czyny, tem silniej nie potępiły złych, dzisiejszych. Ale czyż taka matka mogła wychować podobnego dyabełka? Widocznie, przeważający wpływ ojca ją popsuł. Nie... i to nie. Bo chociaż zasadami swemi chełpi się równie śmiało, jak generał, istota tych zasad musi być dla starego cynika niesympatyczną, sprzeczną z tem, co sam wyznaje... on, filar zdrożnej przeszłości; ona, zapasznica, brouiąca idei fałszywych, ale nowoczesnych.

Zapomniał, że i on, wychowany w odmiennych zasadach, innym teraz hołdował; zapomniał, że na ukształtowanie moralne indywidualności człowieka wpływa, nie tylko edukacja, ale cała summa złych i dobrych tradycyi, wspomnień, wrażeń duchowych i materyalnych, to fantastyczno-niejasných, przyniesionych już do kolebki może z innego życia, to realnych, zaczerpniętych z otaczającego świata.

(Dalszy ciąg nastąpi).



## Korrespondencja zagraniczna

Poznań w Marcu 1887 r.

(Dokończenie).

Przytaczając ten piękny czyn, *Przyjaciel ludu* odezwał się gorącymi słowami do zamożniejszych gospodarzy wiejskich, kmieci, których co najmniej w księstwie musi być około 10,000. Jest to więc siła, z którą liczyć się wypada, a poparcie przez nich udzielone szlachetnej instytucji Karola Marcinkowskiego, przyczyniłoby się nie mało do rozkwitu dzieła, potrzebniejszego jeszcze w obecnych stosunkach, gdy milionowy kredyt taranem uderza w szkolne stosunki. Mimo jednak wadliwości systematu, polscy uczniowie odznaczają się nieraz w próbach examinywnych, a domowa troskliwość dotychczas skutecznie strzeże ojczyściej mowy, czytania i pisania polsku. Szkoły uzupełniające, które stanowią część składową obecnego systematu, nie znalazły łaski nawet w oczach niemieckich. Rzemieślnicy i mieszkańcy małych miast narzekają na dodatkowe zajmowanie czasu wyrostkom, którzy, raz ukończywszy w czternastym roku życia szkołę elementarną, odtąd, aż do nowego, wojskowego przymusu, przyczyniają się do utrzymania rodzin przez swą pracę zarobkową. Znalazło się już sporo protestacyi niemieckich przeciwko nieproszonemu wykształceniu, którego celem nie jest wcale uzupełnienie wykształcenia elementarnego, ale stłumienie ducha polskiego i zaprowadzenie policyjnego porządku w umysłach ludu.

Tymczasem przesiedlanie nauczycieli wiejskich w głąb Niemiec postępuje systematycznie i nieubłaganie naprzód. Niema bodaj jednego numeru gazety, w którymby nie można znaleźć wiadomości, że ten lub ów nieszcześliwy *in interessu służby* otrzymał rozkaz opuszczenia dotychczasowej posady, aby zamieszkać w Westfalii, w Holstynii, w Saxonii pruskiej.

Gołosłowne te doniesienia nieraz ukrywają prawdziwy dramat, łamiący życie, szczęście i siły człowieka. Wspomnijmy smutny przykład biednego starca, który już przeszło od czterdziestu lat nauczał dziatwę wioski położonej w Prusach Zachodnich, zżył się z miejscowością i ludźmi, aby nagle w 64-ym roku życia otrzymać rozkaz przesiedlenia się w okolice Wiesbadenu. Opuszczać kraj, ziemiaków, dom rodzinny—każdemu ciężko, ale tu przychodziło jeszcze opuścić ukochaną pasiekę! Starzec kochał się w pszczolnictwie, zawołany był botanikiem, całe jego mienie zasażono na stu ulach, których zabrać z sobą było niepodobniństwem, a sprzedać w pośpiechu, wypadło za pół ceny, z bólem nieopisanym, przywiązanie tak żywo do swej pasieki gospodarza! Nawet prasa niemiecka uzależniła się nad starym polskim nauczycielem; wszelako nakazu przesiedlenia nie cofnięto.

Polowanie na nazwiska o germańskim dźwięku, aby dzieci włączać do oddziałów niemieckich i wpisywać w rejestra zaprzeczające im pochodzenia polskiego, jest zawsze na porządku dziennym. Małuczcy, niemogący lub nieumiejący się bronić, ulegają ortograficznej annexyi, bo w istocie niema prawie sposobu udowodnienia legalnie, że się jest Polakiem z urodzenia, skoro na petycyje rodziców przychodzą odpowiedzi odmowne, oparte bądź na domyśle, że nazwisko z czasem spolonizowanem zostało, lub jeszcze, że rysy twarzy zachowały plemienne cechy germańskie, albo nareszcie, że skoro ojciec był urzędnikiem kolejowym, *ergo* musiał być Niemcem, bo Polacy nie bywają zwykle do tej służby przypuszczanymi. Zdarzyły się jednak wypadki skuteczności protestu i obrony poddanej w wątpliwość polskiej pisowni nazwiska. Niedawno przyznano słuszność panu Wolszlegierowi, którego gwałtem chciała gorliwość urzędnicza przerobić na „Wohlschlagera“, a który udowodnił, że na życzenie ojca już w metryce kościelnej zapisaniem było jego na-

zwisko polską ortografią. Światlejsi i silniejsi umieją tedy przeprowadzić sprawę i zawarować sobie nietykalność rodzinnego miana. Tłum prostaczków nieraz bez skargi i zażalenia znosi tę nową, przydaną do tyłu innych, krzywdę. Ale duch języka zwalcza stale germańskie importacje, po niejakiem czasie znów im nadając rodzime brzmienie. I tak piastowski Gniewków, przekreślony na niemieckie *Argenau* w potocznej mowie dziś już „Argenowem“, został, Pojeziory, przezwane *Amsee*, niebawem zamieniły się w „Jamże“, Jedwabno z niemiecka na *Seide* przekształcone, dziś powszechnie „Żyda“ zwane. Takich przykładów możnaby więcej jeszcze przytoczyć, a wszystkie one pośrednio stwierdzają słuszne mniemanie, iż nacisk germanizacyjny potrafi burzyć pałacę, rozwalić dwory szlacheckie.—nie poradzi chatom. Lud sam spolszcza owe nazwy niemieckie, które rozbójniczo pospychały pierwotne polskie.

Byle tylko do ludu nie trafiła kosmopolityczna zaraza, która obecnie w tak przerażający sposób wśród Niemców grasuje! Już w ostatnich moich listach znalazło się miejsce na wymowną statystykę socjalistyczną. Ostateczne obliczenia tego stronnictwa udowodniły, iż mniemana onego przegrana jest w gruncie zwycięstwem. Utrata trzy-nastu mandatów poselskich bynajmniej nie była skutkiem cofnięcia się postępów socjalizmu, lecz jedynie wynikiem połączenia i porozumienia stronnictw przeciwnych. Gdyby nie liczne kompromisy, które wzmocniły partją rządową, socjaliści powinni byli posiąść 43 krzesła w parlamencie, i stać się czwartem w nim z rzędu stronnictwem pod względem znaczenia i siły. Tu znów liczby najgłośniejsi przemówią: na siedm milionów głosów oddanych przy ostatnich wyborach każdemu z 397 posłów przypadłaby przeciętna 17,864. Otóż żaden z nich tyle ich nie otrzymał, z powodu rozstrzelenia stronnictw—konserwatyści najwięcej na swych posłów dostali po 14,931 głosów. Jedni socjaliści poszli dalej: na każdego z ich jedenastu posłów, przypadło 70,395 głosów, czyli pięć razy tyle, aniżeli się każdemu z konserwatyistów dostało. Ogółem, mimo praw wyjątkowych, socjalizm już rozporządza bez mała 800,000 głosów. Zagadka przyszłości coraz też w oczach olbrzymieje i rośnie, a złowrogie grzmoty—nadei-gająca burzą społeczną coraz częściej i głośniejsz zapowiadają.

Zgon Kraszewskiego, który się odbił żalobnem echem po całej Polsce, jak szeroka i długa, oczywiście i w Poznańskim znalazł odgłos należny. Uczczono już znakomitego pisarza dwoma solennymi nabożeństwami w głównych miastach naszego świątyniach. Nie godząc się zawsze na kierunek, szanowaliśmy w Kraszewskim wzór nie-dościgniony pracy, podziwialiśmy talent, wyróżnialiśmy osobnem uznaniem prawdziwie piękne utwory niezmodernowanego pióra i fantazyi. Pozwólcie nam dodać, że w tem uwielbieniu bywały pewne zastrzeżenia. Między nami a wielkim pisarzem zaszło było przed laty pewne nieporozumienie, które z jego strony, niestety! zamieniło się w długotrwałą urazę. Przed kilku laty, otrzymawszy saski indygenat, zaprzęgnął on skosztować publicznego życia i wyraził życzenie ubiegania się o mandat poselski z Wielkopolski. Polityczne i miejscowe względy, sumiennie roztrząsane, zniewoliły komitet wyborczy do usunięcia kandydatury, gdyż mogła się ona stać z czasem precedensem, który uważano podobowczas w naszej inteligencji miejscowej za niebezpieczny. Wybór poddanego saskiego mógłby z czasem za sobą pociągnąć kandydatury zupełnie obcych naszym stosunkom miejscowym, kiedy właśnie obowiązani jesteśmy zacieśniać się w granicach naszej dzielnicy i obwarowywać przeciw wszelkiej spólności z innemi częściami Rzeszy Niemieckiej. Kraszewski wziął powyższe postanowienie za osobistą niechęć i lekceważenie. Rozgoryczenie jasnowidzenia nie daje: to też mistrz pióra i słowa omylił się wtędy w niejednym ocenieniu, w niejednym doraźnem potępieniu, któremu blizka zaprzeczyła przyszłość. Powoli zablizniła się jęcząca rana, a gdy nowe na nas jeły spadać ciosy, złagodzone widokiem niedoli, szlachetne Kraszewskiego serce zapomniało dawnych uraz, aby tylko najwyższe

spółczucie zachować. Do końca też liczył tu nie mało blizkich i oddanych sobie przyjaciół a rekojmią złagodzenia dawnych drażliwości, było złożenie darów jubileuszowych w osobnej sali naszego Muzeum Przyjaciół Nauk.

Dodajmy tu dla pamięci, że pewna część pism Kraszewskiego, te mianowicie, które wydał pod pseudonymem Bolesławity, wychodziła w Poznaniu nakładem zmarłego przed dwoma laty Jana Konstantego Żupańskiego, który należał do rzędu osobistych przyjaciół Kraszewskiego.

Nieraz już donosiłem wam o rozwoju muzyki kościelnej przy naszej katedrze, o jej rdzennej reformie i powrocie do najwspanialszych tradycyi dawnych mistrzów i gregoryańskiej pieśni. Obrzędy wielkotygodniowe dały naszemu chórowi archikatedralnemu sposobność gotową do iście wspaniałego wystąpienia. Po wieloletnim upadku muzyki kościelnej w naszych świątyniach podziwialiśmy szybki postęp i ukształcenie młodych, pięknych głosów, zlewających się w przedziwnej harmonii. Niedziela Palmowa odznaczyła się bodaj najwspanialszemi starych mistrzów utworami i doskonałem ich wykonaniem. Na mszy rannej passya według św. Mateusza została odśpiewana przez chór archikatedralny według układu Francesca de Soriano, kompozytora włoskiego z XVII wieku, który w ramach gregoryańskiej prostoty zamykał najszczytniejsze oratoria. Offertoryum mistrza Orlando de Lasso uzupełniło wysoki nastrój rannych śpiewów. Popołudniowemu zaś nabożeństwu towarzyszyły utwory naszego Mikołaja Zielińskiego, proboszcza niegdys Zyguntowskiej Kaplicy, a piękność ich jawnie udowodniła, że złotemu okresowi naszej kultury nie brakło i dźwięków muzycznego natchnienia. Niemieccy dylettanci, zamieszkali w Poznaniu, z podziwem i uznaniem śpieszą do katedry, ilekroć zapowiedzianem bywa wykonanie jakiego nowego arcydzieła. Wobec ich ciekawości i zamilowania prawdziwego piękna razi obojętność naszej polskiej publiczności, śpieszącej na wyścigi, ilekroć jaki przejezdny grajek ogłosi koncert, w którym nieraz doborzem i wykonaniem sztuk drwić sobie z nas zdaje, a niewiedzący, czy niechęć wiedzieć o wspaniałej muzyce, która się co niedziela i święto rozlega pod sklepieniami starożytniej katedry, płynąc falą piękna i pociechy pod stropy świątyni chowającej w swych murach szczątki Mieczysława i Bolesława Chrobrego. Pieśń święta, pieśń piękna, toć nie wiążąca przeszłości z przyszłością—arka przymierza wśród potopu klęsk i smutku..

*Bluszcz* podał nam ciekawą wiadomość o książce pani Herpin, ukrywającej się pod pseudonymem „Lucien Perey“ i *Mémoires d'une grande dame au XVIII siècle*; ale szanowny korespondent paryzki, wspominając w dwóch miejscach o pierwszej żonie Podkomorzego Potockiego, nazywają ją stale „Mostowską“, kiedy w rzeczywistości była nią „Mycielska, Wojewodzianka Inowrocławska“. Znała ją dobrze społeczność poznańska, starsi ludzie za naszych czasów jeszcze ją pamiętali. Pani podkomorzyna umarła w Wilkowie, wsi pod Leszmem, w późnej bardzo starości.

## HYGIENA I MEDYCYNĄ POPULARNA

O pożywieniu i kuracyi dyetetycznej.

(Dalszy ciąg).

Nie łatwą jest rzeczą określić: ile organizm powinien przyjąć białka, ile mączki i ile tłuszczu, aby utrzymać w równowadze zdrowie i w miarę wynagradzać ubytek poniesiony przez spalanie, jakie się w organizmie odbywa. Mają tu bowiem wielki wpływ przedewszystkiem wiek i płeć a potem sposób życia t. j. praca, dalej konstytucya organizmu i klimat.

Niepodobna szczegółowo wymienić, jaka w każdym z powyższych warunków ma być zachowana



dyeta; rozszerzyłyby to zanadto ramy naszej pracy: ograniczymy się tedy na przeciętnej liczbie i podamy, ile potrzebuje pożywienia człowiek w średnim wieku i jakiego ono winno być gatunku.

Dane te oparte są na spostrzeżeniach naukowych i określają w sposób racjonalny, na podstawach fizjologicznych: ile mianowicie spożytem być winno, aby organizm, bez narażenia przewodu pokarmowego i wywołania innych chorób, zaspokoił głód i wynagrodził ubytek poniesiony przez pracę i życie.

Chleba . 750 grammów  
Mięsa . . 500 „  
Tłuszczu 250 „

Są to najniezbędniejsze artykuły żywności, które wynagradzają organizmowi stratę pierwiastków spowodowanych skutkiem palenia się materii w organizmie czyli utleniania.

Każdemu wiadomo, jak różnorodnym jest pokarm, którym się odżywiamy i jak skomplikowanymi potrawy służące za pożywienie człowiekowi. Można je policzyć na setki albo na tysiące nawet. Dlatego niepodobna nam tu mówić po szczególe o każdej z osobna, wypada koniecznie ograniczyć się na ogólnych uwagach z zastrzeżeniem z góry, że co dla jednego przewodu pokarmowego bywa pożytecznym t. j. łatwo strawnym i przyswajalnym, dla drugiego stać się może prosto trucizną.

Przedewszystkiem tedy, łaskawe czytelniczki, należy wprowadzać do ust pokarmy w jaknajdrobniejszych cząstkach, t. j. powinny być one albo rozłamywane, albo na małe cząstki pokrajane, a powtórę dokładnie zżute. Do pierwszej operacji potrzeba trochę siły i zgrabności w paluszkach, a także noża i widelca, do drugiej, o co już znacznie trudniej, zębów i do tego zębów ładnych, czyli, co na jedno wyniesie—zdrowych.

A jak to dziś nietatwo o ładne ząbki, to aż strach pomyśleć! A wiecie szanowne panie dlaczego? Dla bardzo błahej przyczyny. Jadamy za dużo słodczy i pijemy zimne jak lód piwo lub wodę po gorącej zupie; nie płuczemy ust po jedzeniu i codziennie wycieramy zęby twardą szczotką i niemialkim proszkiem. A tu koniecznie trzeba tych wszystkich szkodliwości unikać albo... potem bezwarunkowo zafundować sobie sztuczne zęby, gdyż pokarm nierozdrobiony dokładnie w ustach i niezmiyszany ze śliną, jest trudno strawnym w żołądku i sprowadza w tym ostatnim stan katarahy. Jeżeli etykieta zabrania jeść prędko, to higiena uważa takowe przeniewierzenie się zkadinał jej nieprzyjaciółce—za kryminał nie do przebaczenia. Tasama ilość bowiem pokarmów zjedzona prędko, z pośpiechem, trawi się dwa razy tak długo, aniżeli gdyby była spokojnie, zwolna spożyta.

Żołądek zdrowy może wszystko strawić w umiarkowanej dozie. Wogóle lepiej jest nie dojeść parę kęsów, aniżeli zjeść jeden za dużo. Co do picia przy jedzeniu, to w umiarkowanej ilości jest ono bardzo pożytecznym. Zbyt suchy pokarm jest trudno strawnym, lecz odwrotnie znów za wielka ilość płynu rozcieńcza zanadto sok żołądkowy i osłabia jego trawjące własności. Doktor Schweninger, przyboczny lekarz kanclerza niemieckiego, wyleczył podobno syna jego ks. Herberta Bismarcka, z nadmiernej otyłości, zabroniwszy mu przy jedzeniu pić cokolwiek.

Wspomniłyśmy jeszcze o tem poniżej, mówiąc o „kuracyi dyetetycznej“.

Rozmaite są poglądy lekarzy i higienistów co do pozostawiania w spoczynku po jedzeniu czy też oddawania się ruchowi i pracy. Naszem zdaniem, łatwiej jest trawić, pozostając w spoczynku. Chociaż to pono nieładnie zapamiętać się na zwierzęta, lecz ponieważ kierują się one instynktem, który zawsze jest zgodnym z prawami natury, więc wypada pomimowoli je naśladować i jak to one czynią po najedzeniu się, przez pewien czas odpoczywać. Długotrwałe spanie po jadłe obfitem, szczególnie u osób otyłych, z krwistym temperamentem, jest bezwątpienia szkodliwe, lecz niedługa drzemka po obiedzie doskonale wpływa na trawienie.

Widzieliśmy w części fizjologicznej, że wydzielanie się soków niezbędnych do trawienia nie jest

ciągłym, że rozpoczyna się dopiero po podrażnieniu żołądka pewnymi substancjami czyli tak zwanymi przyprawami, i że w nocy bardzo leniwo, albo nawet wcale się nie odbywa, a także, iż białko, ten najważniejszy składnik naszych pokarmów, nie ma własności pobudzania soku żołądkowego.

Przyprawy przeto są niezbędnymi; na pierwszym miejscu, jako najpowszechniej używana, stoi sól, dalej idą: pieprz, muszkatołowa gałka, rozmaite ziela, chrzan, musztarda, ocet i t. p. Jeżeli jednakże umiarkowane ich użycie oddaje niezaprzeczenie usługi, to w nadmiernym znów użyciu mogą się stać szkodliwymi, a to z tego względu, że w braku ich żołądek nie działa; nie należy go przeto zbyt przyzwyczajając do rzeczy korzennych.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć w tem miejscu o tak nazwanej „tkliwości osobliwej“<sup>1)</sup> (*idiosyncrasia*). Niektóre osoby nie mogą znieść pewnych pokarmów; sprowadzają im one zaburzenia, bądź to w samym przewodzie pokarmowym, objawiające się niestrawnością, bądź też w całym organizmie. Wystarczy, zdaje mi się, jeżeli wspomnę np. rzodkiewkę i poziomki; po pierwszej u wielu osób występuje zgaga i odbijanie, a po drugiej bardzo często u indywidualów z idiosyncrasyą do tego owocu widzimy pokrzywkę występującą w postaci plam i bąbli na skórze. Przypomniałem dwa przykłady bijące w oczy wyrazistością symptomatów: jest jednakże wiele bardzo pokarmów, potraw, przypraw i napojów, które z powodu tkliwości osobliwej, sprowadzają po jednorazowym użyciu bardzo małosnaczące zaburzenia w organizmie, lecz przy częstem powtarzaniu, jeżeli organizm nie przyzwyczajają się do nich, wyrządzają mu bezwarunkowo szkodę.

Co do czasu przyjmowania pożywienia winien być zaprowadzony pewien porządek, który stosuje się przedewszystkiem do dzieci, lecz i starsi z korzyścią poddawać mu się mogą. Nie należy jadać na noc, albo przynajmniej niewiele. Przyznaję, że jestto sprawa wielce indywidualna, że niektórym osobom „śnią się cyganie“, jeżeli nie spożyli obfitej kolacyi; większość jednakże powinna się od tego powściągać, i zapewniam, że przyzwyczajenie edgrywa tu niepoślednią rolę. Gorąco zalecić potrzeba sposób francuzki jadań: o 12 lub 1-ej śniadanie mięsne, o 6 lub 7-ej obiad a na kolacyę, filiżankę herbaty, lub wreszcie trochę owoców i sucharki.—A karnawał, a wieczory tańcujące, a majonezy, a homary, a bazyli, a lody? Prawda, zaponniałem, lecz w takim razie proszę tańczyć do 7-mej rano a w lecie... pojedziemy do Karlsbadu na waserzupkę. Jest jeszcze bardzo wiele przepisów dotyczących sprawy trawienia, lecz nie tu miejsce na nie, proszę łaskawie swego lekarza się poradzić, a on na uszko dopowie.

Chciałbym za to słów kilka poświęcić tak rozpowszechnionej chorobie, jaką jest *katar żołądka*.

Podstawą tej choroby jest właśnie zmieniona wydzielina gruczołów przewodu pokarmowego. Przyczynami jej bywają bezwątpienia czasami przeziębienie, zmartwienie, choroby innych organów, lecz najczęstszą przyczyną jest nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu t. j., niezachowywanie przepisów dyetetycznych, o których wyżej mówiliśmy. Grzechy popełnione w dziecięctwie przez dłuższy przeciąg czasu przechodzą niepostrzeżenie prawie, wywołują nic nieznaczące odbijania, zgagę, rzadziej już wymioty lub gorączkę nawet; ale jeżeli powtarzają się *à la longue*, jeżeli odporność na nie żołądka nie jest zbyt wielką, wywołują chroniczne cierpienie, nadzwyczaj nieprzyjemne i podkopujące organizm w wysokim stopniu. Dotknięci takim cierpieniem zaczynamy dopiero z całą pedanterią wystrzegać się i dbać o swój żołądek i zdrowie. Najczęściej jednakże bywa już zapóźno. Uciekamy się do tak zwanej diety białej t. j., spożywamy tylko biały chleb, białe mięso i białe wino, do gorzkich ziółek, do wód mineralnych i o dziwo! słuchamy przepisów lekarskich, wykonywamy je z całą pedanterią. Pedanterya bowiem jest blizką ku-

zynką chronicznego kataru żołądka, — zczasem staje się okropną ciotką znaną pod nazwiskiem: śledziennictwo (*hypochondria*).

Jest to choroba nerwowa wywołana ciągłą niestrawnością, odmawianiem sobie najulubieńszych pokarmów, ciągłym leczeniem się i pielęgnowaniem. Człowiek brzydnie sam sobie i drugim. W wyjątkowych razach pod wpływem tego stanu fantazyja bywa rozbujająca.

Dzisiejsza medycyna nie ucieka się wyłącznie do miksury i proszków, jak to jeszcze przed bardzo niedawnym czasem miało miejsce, lecz zwraca baczną uwagę na sposób żywienia się organizmu, t. j. na jakość i ilość pokarmów. Skutkiem tego wytworzyła się oddzielna metoda leczenia, znana pod nazwą *kuracyi dyetetycznej*, a z którą łaskawie czytelniczki *Bluszczu*, według pracy prof. d-ra Oertel'a, bliżej zapoznać postanowiłem.

„Jemy, aby żyć“, mówią powszechnie, co nie zawsze jednak jest prawdziwym, gdyż jeden, aby żyć spożywa zimne kartofle i czerstwy czarny chleb, a drugi przez godzinę albo i dłużej lechcze podniebienie kawiozem, ostrygami i t. p., by zaostrzyć apetyt do angielskiego *raastbeefu* i ciężkiego porteru. Dla tego można nieraz twierdzić, że „żyjemy, aby jeść“. Należy również zadać sobie pytanie: „Jak żyjemy, gdy żyjemy, aby jeść?“ gdyż od sposobu odżywiania się zależnym jest sposób życia naszego. Wiedzano o tem już w Starożytności, i gdy pewnego razu uczeń zapytał mędrca: ile jest chorób na świecie,—otrzymał odpowiedź: Porachuj potrawy—według niego bowiem w kuchni brało początek wiele bardzo chorób. Nasze badania nowożytnie nad pożywieniem wykazały, że od owych czasów choroby, skutkiem właśnie wadliwości w odżywianiu, pomnożyły się w przerażający sposób. Dorobiliśmy się powszechnie zaburzeń w organizmie, skarłowacenia sił i krótkowieczności, o których Starożytni pojęcia nawet nie mieli, bardzo wiele bowiem chorób wynika z wadliwego odżywiania się; a mamy tu na myśli, nie pożywienie niewłaściwe klas ubogich, o którego szkodliwości nikt z pewnością nawet nie wątpi, lecz właśnie grzechy popełniane przez ludzi bogatych, ludzi *zadobrze* jadających. Są one daleko bardziej rozpowszechnionymi, aniżeli to się wydaje z pozoru, a prace naukowe ostatnich dziesiątków lat wykazały całą doniosłość tej szkodliwości.

Organizm człowieka składa się z pierwiastków organicznego i nieorganicznego pochodzenia, których wzajemny stosunek utrzymuje rozrost jego i stan zdrowotny w normalnym stanie. Najważniejszą składową częścią organizmu jest białko, które zawiera w sobie wielką ilość azotu i tłuszczu, dwie substancje odżywiające go i utrzymujące niezbędne ciepło do życia. Trzecią, niemięniej ważną składową substancją naszego ciała, która ułatwia *assimilacyą* dwóch powyższych i wydzielanie części niezdatnych, jest woda, którą jako napój a także i w pokarmach stałych przyjmujemy. Dostarczanie pokarmów białkowych i tłuszczów we właściwej ilości i postaci stanowi o właściwości odżywiania się.

Jeżeli, którakolwiek z tych substancji będzie w nadmiarze spożywana, to przez pewien ograniczony czas, jak to np. widzimy z tłuszczem, będzie zbytek jej odkładać się we właściwe tkanki, później jednakże, skutkiem zbyt nagromadzenia się w miejscach *ad hoc* przeznaczonych, odkłada się on także w tkankach, gdzie go być nie powinno, i, jak poniżej zobaczymy, wyrządza tem złe, które rzadko tylko usunąć się daje. Nawet woda, ten najniewinniejszy środek pożywny, użyty w nadmiarze, może organizmowi szkodę wyrządzić.

Skutki przekarmienia są daleko częstsze, aniżeli się zdawać mogło, a usunąć je można jedynie przez zachowanie przepisów dyetetycznych.

Przyjrzyjmy się jednej formie przekarmienia, którą nazywają „otyłością.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)



## Kronika działalności kobiecej.

— W Nr. 115 *Kuryera Warszawskiego* znajduje się w dziale nekrologii wzruszający wyraz uczucia, poświęconego zmarłej Józefie Jeziorowskiej, wdowie po b. inżynierze naczelnym kanału augustowskiego, ze strony Teodory Skowrońskiej, „jedynie wiernej do grobu sługi i towarzyszy”, która po trzydziesto-pięcioletniej służbie u zmarłej „najlepszej pani i dobrodziejki” odprowadziła ją na miejsce wiecznego spoczynku i dziękując dobrym ludziom, biorącym wraz z nią udział w tym akcie ostatniej usługi, jakiej człowiek od bliźnich swych potrzebuje, zakończyła to wierszem:

Przeszłaś z krzyżem po ziemi, bez skargi i jęku  
Osamotniona wdowa! Pani moja droga!  
I po długiej męczarni na sługi swej rękę,  
Uszłaś po cnót nagrodę—do nieba, do Boga...

Że ta samotna staruszka, której nikt z rodziny nie został, czy przy niej nie dotrwał, musiała być dobrą, uczuciową kobietą, która na nasz stary, tradycyjny sposób umiała się wiązać z otoczeniem swoim, ze służbą swoją, węzłami poczciwego uczucia życzliwości—potwierdza już sam fakt, który mamy przed sobą. Niech cieniem jej będzie dany pokój Boży...

— W papierach zmarłej księżny Wittgensteinowej, która była ogólną spadkobierczynią i wykonawczynią ostatniej woli Liszta, a za życia nie zdołała wszystkiego, jak pragnęła, dokonać, znaleziono obszernie spisane rozporządzenie, na mocy którego wszystkie kosztowne i pamiątkowe przedmioty, otrzymane przez Liszta od welebicieli jego talentu, a w cenie przechodzące 400,000 franków, oraz pamiątki pozostałe po nim, zostają zwrócone jego ojczyźnie i oddane na własność miasta Buda-Peszt. Zmarła uważała to za obowiązek, aby kraj objął ten spadek po wielkim swoim muzyku. Pieniądze zostawione do jej rozporządzenia na cele muzyczne w summie 40,000 zł. reńskich przeznaczyła na wsparcie muzyków polskich kształcących się w Rzymie.

— Jak można nawet po stracie majątku i ziemi posiadanej utrzymać się odważnie na drogim każdemu kawałku ziemi rodzinnej, dała przykład p. Marya Janowska, niegdyś właścicielka wsi Zachacie, w okolicy miasteczka Babinicze, pozostając po sprzedaniu wsi na miejscu i zakładając tam sklep korzenny, mieszczący przecież obok tego towar rozmaity. Włoszanie, nie tylko z Zachacia, ale z całej okolicy, zaopatrują się w jej sklepie, pociągnięci do tego, prócz sympatii dla kobiety odważnie z losem walczącej, przekonaniem, że tu wszystko sprzedawane im będzie uczciwie, po cenach sumiennie oznaczonych. Sklep ten wiejski musiał naturalnie wytworzyć pewną konkurencję sklepom miasteczkowym, przecież utrzymujący je żydzi, nie tylko nie wystąpili wrogo przeciw tej zacnej pani, ale, przeciwnie, sami zaopatrują się u niej, nabywając częściowo towar, który ona w ilościach większych sprowadza, i wszystko razem składa się na obraz, który każe się zapytać: czy ta dawniejsza pani Zachacia to nie postać z *Resurrectur*? Szdoda tylko, że kapitał obrotowy, którym rozporządza, znaczniejszym nie jest—dodaje korespondent z miejsca.

— Muzeum pszczolnicze na Koszykach, kształcące dotychczas uczennice swoje w pszczolnictwie, ogrodnictwie i jedwabnictwie, zamierza naukę tę rozszerzyć, obznajamiając je z wyrobem napojów miodowych, oraz konserw i przetworów owocowych na miodzie. Potrzebna do tego suszarnia ma się wzniesić przy Muzeum.

— Handel jajami szeroko się rozwija po całym kraju; na Wołyniu, Podolu, Ukrainie wykupują ją skrzętni pośrednicy agentów zagranicznych, urządzają ogromne ich składy w Berdyczewie,

gdzie są sortowane i pakowane na wywóz. P. Antonina Dybowska, mieszkanka okolic tamtejszych, donosi nam, że bez szczególnego wysiłku w kierunku hodowli kur, otrzymała w tym roku za jąja rs. 200, czystego zysku, odtrącając przecież od nakładu, cenę kur na mięso w domu spożebowanych, lub sprzedanych w mieście. W tych czasach transporty jaj wyprawionych z Berdyczewa, obejmowały 4,000,000 skrzynek. Pani wspomniana hoduje gatunki kur, nie tylko nieśnych, ale niosących jąja duże. Zaprowadzenie takich gatunków opłaca się przez podwyższone ceny jaj.

— W osadzie leśnej Służewo, w okolicach Alexandrowa, prowadzi się na wielką skalę założona i dobrze procentująca hodowla kur, które przez rok cały znajdują dostateczną liczbę nabywców, a w czasie kąpielowym idą znacznymi partiami do Ciechocinka.

— Trzecia szwalnia dziewcząt ubogich ma zostać otwartą w gmachu po-Dominikańskim. Będzie to obejmować trzy pracownie dziewcząt, każda po 100 uczennic.

— Departament rządowych kolei żelaznych, wydał rozporządzenie możliwego ograniczenia kobiet zajętych w różnych gałęziach służby kolejowej.

— Wystawa bydła rogatego, owiec, świń i drobiu, otwarta będzie na Polach Ujazdowskich w d. 11 Czerwca, jednocześnie z wystawą koni. Na wystawę bydła rogatego przyjmowane będą wszelkie okazy, a mianowicie: byczki od 1½ roku, krowy, jałowizna, woły robove i opasowe. W dziale owiec: owce ras celujących cienkością wełny (sukienniczej), z tych tryki i maciorki; owce ras długowłnistych, z tych tryki i maciorki; owce ras mięsnych: tryki, maciorki i opasy. W dziale nierogacizny: knury, maciory, prosięta, wieprze tuczone.

Do działu ptaactwa domowego przyjmowane będą wszelkie okazy ras krajowych i zagranicznych, hodowane w kraju: kury, kaczkę, gęsi, gołębie i t. d. Dla działu owiec, bydła rogatego i nierogacizny przeznaczono medali srebrnych dziesięć, bronzowych dwadzieścia, nagród pieniężnych dziesięć, pewną liczbę listów pochwalnych, wreszcie trzy medale złote, za najlepsze grupy okazów jednego przeznaczenia lub kierunku, przez jednego wystawcę przedstawione, na przykład dwie krowy, jeden byk, cztery jałowice; dwa tryki, dziesięć maciorek, pięć jagniąt; jeden knur, dwie maciory, sześć prosiąt. Osoby życzące sobie brać udział w wystawie potrzebują złożyć kommissji wystawowej deklarację, która co do treści ma być poświadczona przez dwóch sąsiednich właścicieli, co do podpisów przez władzę policyjno-administracyjną. Otwarcie wystawy nastąpi w d. 11, zamknięcie w d. 20 Czerwca. Okazy zadeklarowane powinny być dostawione co najpóźniej na dwa dni przed otwarciem wystawy. Deklaracją jako też wszelkie korespondencje dotyczące wystawy, przyjmuje kancelarya Towarzystwa wyścigów konnych, Krakowskie-Przedmieście Nr 32 (pałac hr. Augusta Potockiego), codziennie z wyjątkiem dni świątecznych, do godziny trzeciej popołudniu.

Za miejsce przy składaniu deklaracji pobierana będzie opłata: od koni, starszych nad lat trzy, 10 rs.; od młodszych po 15 rs.; od koni urodzonych za granicą po 15 rs.; od sztuki bydła rogatego, starszego nad rok, 5 rs.; od młodszego po 3 rs.; od owiec w większej ilości, niż sztuk pięć po 1½ rs.; od mniejszej liczby po 2 rs.; od świń starych po 1 rs.; od prosiąt po pół rubla; od klatki drobiu po 1½ rs. Dyrekcja dróg żelaznych zapewnia powrotną podróż okazów bezpłatnie.

— Również obchodząca pracę kobiety wystawa tkacka będzie w listopadzie roku bieżącego urządzona przez Muzeum przemysłowe, w połączeniu z wystawą przedmiotów artystycznych, tak rzemieślniczych, jak i przemysłowych. Programat wystawy tkackiej obejmuje: 1) Przemysł bawełniany w produktach surowych, oraz przędzy i wszelkich tkaninach bawełnianych. W dziale tym przedstawione być mają: systemata bielienia, drukowania, farbowania tkanin; wzory i rysunki tkania, wzory maszyn i narzędzi fabrycznych z podaniem ilości produkcji i rozwoju

przemysłu bawełnianego w Królestwie Polskiem. 2) Przemysł wełniany, jak: sukna, korty i inne tkaniny z wełny. 3) Przemysł lniany, jak: płótna i wszelkie tkaniny ze lnu surowego i bielonego. 4) Przemysł jedwabny, mianowicie tkaniny z jedwabiu: w kraju wyrobione materye, plusze, aksamity, wstążki i inne tego rodzaju wyroby. 5) Wybory zakładów pomocniczych tkackich, jak farbiernie, apretury i tkanin drukarnie.

Przy okazach, wystawionych działów, wyżej wymienionych, pomieszczone będą także wzory i rysunki, wedle których wyrabiają się tkaniny, rysunki i modele maszyn, warsztaty tkackie w naturze, opisy fabryk z podaniem historii ich rozwoju, ilości produkcji i rynków zbytu.

Wystawa przedmiotów artystycznych obejmuje wszelkiego rodzaju przedmioty i wyroby rzemieślnicze, wykonane artystycznie przez współczesnych wykonawców. Miejsce tu znajdują: wyroby stolarstwa, ślusarstwa, bronzownictwa artystycznego; wyroby ze srebra i złota — słowem, wszelkie wyroby przemysłu i rzemiosł mające jakąś wartość artystyczną. Obiedwie te wystawy odbywać się będą jednocześnie w salach Muzeum i trwać będą od sześciu do ośmiu tygodni.

— Krakowskie stowarzyszenie nauczycielek odbyło doroczne swe posiedzenia. przyczem odczytane sprawozdanie wykazało, że zeszłoroczny dochód stowarzyszenia wynosił 2,297 zł. reńskich. Liczba członków dosięgnęła w roku ubiegłym liczby 400. Majątek stowarzyszenia, umieszczony w obligacjach i książeczkach Kas oszczędności, wynosi 12,816 zł. reń. Towarzystwo posiada własną swą bibliotekę, liczącą 855 tomów dzieł, przeważnie treści naukowej.

— Kobiety poznańskie ofiarowały i wręczyły w d. 27 Kwietnia r. b. Windhorstowi bardzo piękny ołtarzyk w kształcie tryptyku, naśladujący wielki ołtarz w kościele Panny Maryi w Krakowie, dzieło Wita Stwosza. Środek ołtarzyka mieści obraz Matki Boskiej Częstochowskiej; w przedziałach bocznych skrzydeł znajdują się wizerunki Świętego Stanisława i Świętego Wojciecha, kopiowane z obrazów znajdujących się na Wawelu. U dołu tryptyku anioł z tarczą herbową, mieści w sobie relikwie Ś-go Stanisława. Na zewnętrznej stronie skrzydeł napis łaciński, wyrażający, że to jest dar kobiet polskich, wdzięcznemu przewodcy centrum sejmum niemieckiego w 1886 r.

— Zawiazało się w Paryżu Towarzystwo niewiast polskich pod przewodnictwem p. Kamińskiej. Zarząd Towarzystwa stanowią pp.: Zofia Nabelakowa (wdowa po Ludwiku Nabelaku), A. Gasztowtowa, oraz Augusta i Aniela Gałęzowskie. Kasą zarządzają pp.: Gałęzowski, Korytko, Loewenhard, Wł. Mickiewicz i Dyonizy Zaleski. Podaje to „Kuryer Warszawski“.

— Towarzystwo kobiet polskich w Ameryce, z charakterem wzajemnej pomocy, zawiązane najpierw w Chicago pod nazwą „Towarzystwa grosza polskiego“ obecnie utworzyło się i w mieście Cleveland w Stanie Ohio. Przewodniczącą w Cleveland jest: Pelagia Tylewicz, sakretarką Jadwiga Urbanowicz.

## Z myśli Kraszewskiego.

- Życie!... wielka i straszna zagadka!...
- Którą rozwiązuje chwila szczęścia!...
- I długie lata wspomnień, i długie lata nadziei!...
- Zawsze to tasama chwila szczęścia, widziana pierwszej zblizka, potem w oddaleniu. Całe życie w niej!...
- Życie to ruch... ruch coraz nowszy. Iść, aby zająć dalej, aż gdzieś spotka się człowiek ze śmiercią i wiecznym spokojem.



— Co to jest prawda?  
— Prawdą jest światło, prawdą jest życie, prawdą jest ciepło...

— A czemu będzie ciemność, śmierć, chłód?

— Falszem...

— A co jest fałsz?

— Fałsz jest brakiem prawdy...

— Prawdą jest wszystko, co istnieje, prawdą jest życie, byt, a najwyższą prawdą jest źródło życia — Bóg! On rozsypał w duchu, którym ożywił ziemię, prawdy obłamki. Cała prawda jest w Bogu, a Bóg jest prawdą. Prawdą jest, co pochodzi z ducha, fałszem, co się rodzi z materii, to jest ze śmierci. Prawda jest złotą nicią wśród szarej tkanki, przesuwaną się we wszystkich tworach, przez wszystkie godziny istnienia. Różne jej strony widać w różnych dziełach Boga, nigdzie całej jej niema. W piersi ludzkiej tylko jest pojęcie potężne jedności i całości prawdy, która starczy za nią samą. Tem pojęciem prawdy, które się rozkłada w nas na pozornie oddzielne pojęcia: dobra, piękna, prawa, pożytku, stoi człowiek wysoko.

— A gdzie tu szczęście?

— Szczęście całe tam, gdzie cała prawda. Nie szukaj go w dobrobycie, bo ten jest i być musi tysiącom zmian uległy; nie szukaj go przedewszystkiem w sobie, i jak zwierzę nie czyni siebie celem stworzenia i ogniskiem wszystkiego. Wiedzieć winienes, że całej ludzkości szczęście jest celem najświętszym każdego z jej członków, że cała ludzkość twem bratem, a miłość bliźniego nie obowiązkiem, nie cnotą, ale prawem bytu. Skoro pojedynczy człowiek chce się z pod tego prawa wyłamać, spotykają go zawody i cierpienia bez celu, bez ratunku! Nie szukaj ani prawdy, ani szczęścia w samym sobie tylko; staraj się o szczęście drugich, żyj w braciach twoich, umiej się poświęcać: a znajdziesz prawdę i szczęście życia.

W nauce prawdą jest, że nic spełna nie umiemy, nie wiemy, że na najwyższym szczeblu umiejętności ludzie wołają: — Wiemy, że więcej daleko jest na dno, co umiemy i rozumem naszym dojść możemy. Na dnie prawdziwej nauki pokora...

W świecie moralnym prawdą jest poświęcenie siebie dla ogółu, życie cząstki w całości, spojenie z jej cząstkami. W świecie domowym prawdą jedyną jest miłość, pobłażanie, więc znowu poświęcenie: żywot ducha, a nie ciała, usamowolnienie umysłu i duszy, spętanie w człowieku części zwierzęcej.

— Lecz czemu jest popęd ku wiedzy i chciwości poznania wszystkiego?

— Popęd to jest szlachetny, przeczucie świata, w którym wszystko wiedzieć i znać będziemy. Ale nie myśl, by nauka była najwyższą zasługą człowieka, a wiedza szeroka problemem jego doskonałości. Czyn jest stokroć wyższy od wiedzy, bo czyn tworzy, czyn żywot daje, gdy wiedza jest tylko spojrzaniem w jego tajniki.

— Więc źle jest, że szukasz szukać prawdy?

— Nie... lecz prawda jest wszędzie, otacza nas. Jak zewsząd, prócz więzienia, widać niebo, tak ze wszystkich stanowisk życia, prócz zwierzęcych, które nas czyni niewolnikami, widać nad głowami naszymi prawdę...

— Człowiek nie samym chlebem żyje i potrzeby jego nie ograniczają się do tych tylko funkcji

zwierzęcych, których zaspokojenie jest wprawdzie warunkiem cielesnego życia, ale nie dotyka, chyba ubocznie, piękniejszej strony istnienia — żywota duszy: duszy potrzeb piękna.

— Gdzie zastosowanie i ten użytek piękna?

— Piękno samo w sobie ma swój cel. Jest to odblask najwyższej, nieśmiertelnej piękności; jego użytkiem, że duszę podnosi, że wznieca to uczucie, co nas przybliża ku ideałom ku niebu... Duszy pokarm, to piękno we wszelkim rodzaju. Dusza myśli, dusza pragnie towarzystwa wielkich ludzi, spełnienia czynów szlachetnych, rozważania Boga i siebie, dusza nareszcie pragnie piękna...

— Stosunek człowieka do ludzi, zamyka się w trzech wyrazach, które obejmuje jeden ostateczny: *miłość*. Ta miłość staje się względem wyższych uwielbieniem i czcią, względem równych braterstwem, względem niższych miłosierdziem.

Cześć dla wyższych, jest czcią ideału, do którego się oni zbliżają. Wszystko, co wielkie, czyż nie podnosi człowieka, czyż nie uszlachca i mnie, wykazując, że do takiej wielkości zdolny jestem? Tylko głupcy, lub ślepi, widzieć tego nie mogą, zazdrościć i nienawiścią występłą pałać. Pojąć wielkość, zbliżyć się do niej, uczyć ją, usiłując się z nią zrównać — oto do czego wiedzie cześć wyższych.

Z równymi jestem bratem. W nieznanym mi szanuję najpierw człowieka, w poznanym szanuję cnoty. Choć wady biją w oczy, wiem, że żaden człowiek z samych wad się nie składa, każdy ma jakąś cnotę, lub ukrytą zdolność do niej. Jakie są obowiązki braterstwa, czy ewangelia, pełna wiecznie prawdziwych, boskich przepisów. Miłość powinna objawiać się poświęceniem, współczuciem, zbrataniem się i zaparciem siebie, co jest zjednoczeniem. Kto mówi, że kocha ludzkość, a gnuśnie śpi w dniu wczorajszym, nie troszcząc się o jutro, ten kłamie! *Kto kocha, pracuje...*

Dla upadłych, i niższych duszą i sercem zawsze jeszcze obowiązkiem jest miłość. Jeśli ktoś upadł umyślnie, żałuję go, bo ślepy; jeśli wypadkiem, godniejszy jeszcze politowania; jeżeli nierozpoznanych okoliczności zbiegiem, co nazywamy losem, ratujemy go, bo najbiedniejszy i kochajmy więcej niżeli, szczęśliwych i poświęcajmy się, aby go wychylić z gubie. Ale cóż pozostaje względem tych, co są zli, przewrotni i zatwardziali? Człowiek ma tu obowiązek podwójny: brzydząc się złem, brzydząc się fałszem, powinien śmiało fałsz i występki wszędzie, gdzie go widzi, nazwać po imieniu. Złote obwódki nie czynią go czem innym, to też żaden wzgląd, żadne położenie od tego nie uwalnia, serce milczeć powinno, bo tu chodzi o zasadę, o rzecz najświętszą na ziemi, o prawdę. *Kto prawdy nie czczy, kłania się złemu...*

Lecz wskazując fałsz i występki, jeszcze względem złego i fałszywego człowieka zostają obowiązki. Do ostatka wierzyć powinniśmy, że się może poprawić, a brzydząc się jego występkiem, należy zachować dla niego miłosierdzie i jak bratu służyć. Im niżej upadł, tem więcej starać się trzeba podnieść go, bo o własnych siłach się nie dobiedzie... Oto teoria moja, teoria życia społecznego, które opiera się na miłości. Najwyższym dla mnie występkiem, bo ziarnem wszystkich, jest

samolubstwo; najwyższym czynem miłości, jej wyrazem: poświęcenie! ofiara! *Nie miłuje, kto się nie poświęca...*

Choć świat materyalny jest, według niektórych, przeciwieństwem świata duchowego, wszystko i tu, w świecie materii, co tylko da się nazwać miłością, jest poświęceniem *Gdzie samolubstwo, tam śmierć...*

Wychowanie od kolebki u ogniska domowego nabiera dla nas wagi niezmierniej: lata dzieciństwa stają się dobą posiewu. Dom — naszą świątynią, przybytkiem, szkołą; pierwszym jego kapłanem, matka, najwyższym stróżem — ojciec. Pod strzechą tulą się całe skarby nasze.

Nie naśladowujemy nigdy, gdy naśladowanie naszą miłość własną obraża; naśladowujemy po większej części mimowoli, nie wiedząc o tem. Rozumne naśladowanie jest ofiarą z miłości własnej, na którą nie każdy zdobyć się może.

To, co fałszywie zowią cywilizacją, zwykle objawiać się wszelkiego rodzaju wykwinem i zbytkiem, przekruceniem żywota na nice, i są ludzie, co dowodzą, że to jest konieczna wynikłość cywilizacji lecz nie naśladowujemy pod tym wyglądem Zachodu. Tam po każdym balu wołają dzienniki jednej partii: — Heby to ubogich rodzin nakarmić można tym kosztem!... Na każde takie wołanie dowcipni gazeciarze przeciwnego stronnictwa odpowiadają: — Policzcie, ile to robotników karmią bale i zbytki!.. Tak jest, ale źle jest. Zbytek karmi, to prawda, ale najmniej potrzebnych, pasyżny zbytku sługi: inne klasy cierpią. Ale pomińmy i to, odłóżmy na bok: zbytek najszkodliwszy nie tym, którym pokarm odbiera, a których mógłby kosztem swym nakarmić, lecz tym właśnie, którzy nim żyją.

Przed ludźmi i Bogiem człowiek winien rachunek z każdej swej czynności. Bóg sędzi sprawę człowieka w jego sumieniu, widoczne uczynki należą i do sądu ludzi: z drobnych czynności składa się całość życia społecznego.

Do dzisiejszego numeru *Błyszczu* dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tyt.: **Konieczność**, przez M. E. Braddon.

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Na ruinach (dalszy ciąg), powieść, przez Zygmunta Sarneckiego. — Hygiena i medycyna popularna, (dalszy ciąg), przez Dr J. Starkmana. —

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon. — Przegląd mód. — 14 wzorów ubiorów i robót z opisem **Sekreta gospodarskie**. — Dyspozycją stołu.

— **Korrespondencja zagraniczna**, Poznań, **Kronika działalności kobiecej**. — Z myśli

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 22 Апрель 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg



Przegląd mód.

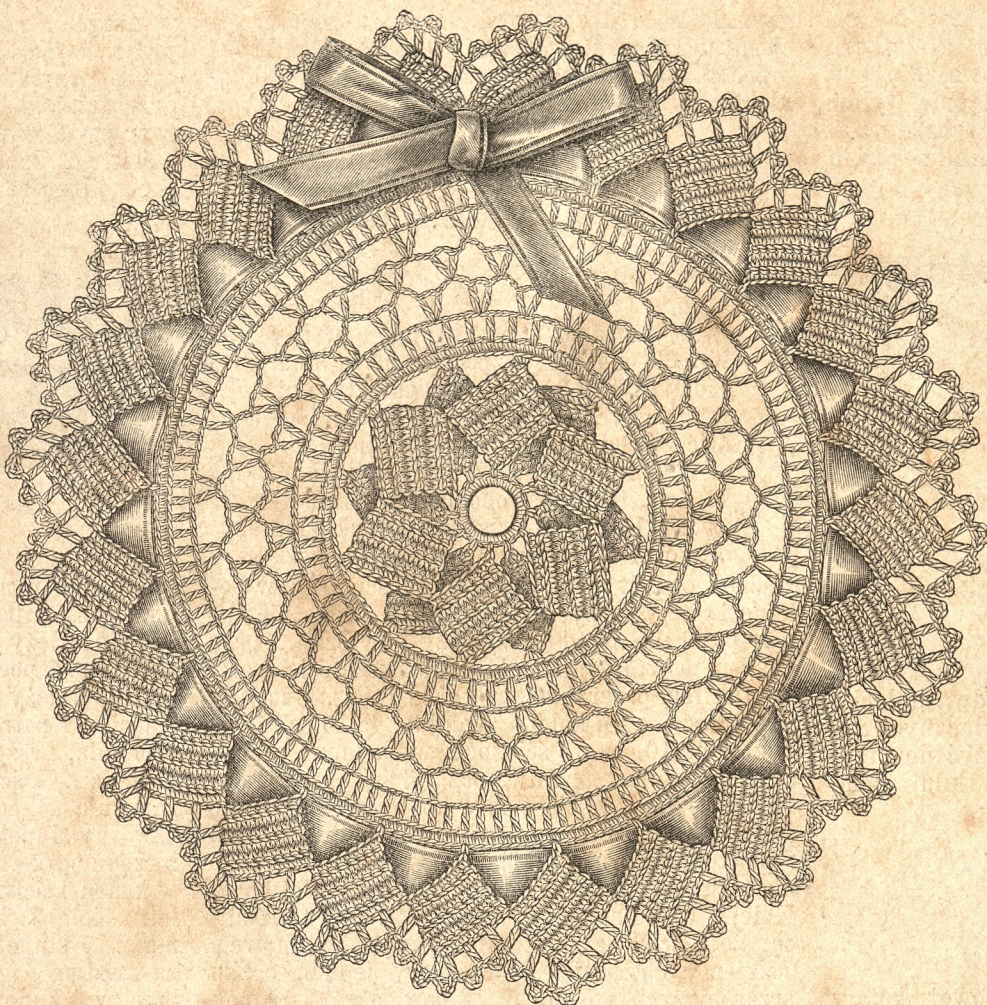
Okrycia. — Formy. — Materyały. — Przybrania. — Nowe zakietki. — Materyały na takie zakietki u pp. Heurich — Długie okrycia u pani Matuszewskiej. — Fabryka kapeluszy słomkowych pana Lotha. — Śliczne jej słomiane wyroby. — Fasony okrągłych kapeluszy słomianych, oraz kapotek. — Magazyn tani.

Do przedmiotów najwyższej elegancji zaliczyć można dzisiejsze okrycia wizytowe, nadające całej tualecie cechę wytworności. Forma ich w ogóle bardzo rozmaita, zachowała wszakże coś z dołmana i pelerynki — przypomina jedno i drugie, a jednak różni się od nich. Plecy zupełnie przylegające do figury, przedłużone są tylko na kilka centymetrów niżej wcięcia, za to przody luźne, są długie, rękawy po większej części połączone z plecami; w niektórych tworzą z przodu krótką pelerynkę do łokcia, u innych przypominają krój dołmanowy. Niepodobna wyliczyć szczegółowo tych drobnych odmian, które z każdej okrywki robią coś zupełnie oryginalnego i nowego. Ciężkie materye francuzkie w grube prążki lub w luskę, są najwłaściwsze na okrywki wizytowe; materyały w pasy aksamitne, również bardzo są modne, gładkie zaś materyały naszywają aksamitnymi pasami, lub galonem dzętotowym, co bardzo je stroi i bogato wygląda. Perły, pasmantery, galony, hafty, używają się ogólnie do okryć w takiej ilości, że dziwić się trzeba, jak elegantkom nie sprzykrzy się dźwigać takie ciężary na sobie.

Okrywki mniej strojne robią się z korcików, szewiotów i t. p. materyałów, brązowego, piaskowego lub granatowego koloru. Przybierają je jedwabne pasmantery, dobrane do koloru okrywki, duże piękne guziki, oraz galon z fryzowanych kordonków „Bouclé”. Kaftaniki wcinane z tego samego materyału co suknia, zawsze są noszone, zwłaszcza przez panny.

Zakietki formą „tailleur“ przylegające do figury i niczem nie przybrane, cieszą się ciągle powodzeniem, przecież największą nowością są takie zakietki skórą przybrane; lat temu kilka ekscentrycznych elegantki paryżkie nosiły całe zakietki ze skóry, z ozdobami metalowemi, dziś taka modna zakietka z gładkiego sukna, przybiera się tylko skórą. Patki u rękawów, kieszenie i rozcięcie w tyle są ze skóry, guziki już nie metalowe, ale powleczone skórą, kolor skóry powinien być zupełnie odpowiedni do koloru zakietki. Mnóstwo ślicznych wyrobów zwanych „pół-sukno“, na zakietki, które nam pokazywano w magazynie panien Heurich, róg Miodowej — tak krajowych jak i zagranicznych, były w drobnią kratkę, bo o ile na suknie używa się szerszych krat, o tyle zakietki i wszelkie lekkie paltoty, robią się z grubszej wełny w drobnią kratkę.

Zakietki takie i w ogóle długie lekkie paltoty, zawsze modne — podszywają się mieniącą materyą — jeżeli zaś wierzch jest gładki, materyą w kratkę. Na wszelkie takie podbicia wyrabiają fabryki wyborny materyał pół-jedwabny, mający połysk jedwabiu, a przymieszka bawełny czyni go grubszym i cie-



Nr 1. Podstawka pod flakoniki, wazony i t. p. szydełkową robotą.

plejszym. Śliczne okrycia długie w znanym magazynie okryć pani Matuszewskiej, były wszystkie z azurowej wełny; jeden z piaskowej w deseń

jowej fabryki pochodzące kapelusze, widzieliśmy w fabryce pana Lotha, która od kilkudziesięciu lat przoduje wszystkim innym i rzeczywiście wszystkie, które tam oglądaliśmy i wyrobem i fasonem (słoma jest zawsze dotąd zagraniczna) dorównywiają sprowadzanym, a o wiele są tańsze. Prześliczne oglądaliśmy z odmienną główką, a odmiennym rondkiem, na przykład główka brązowa, rondko ze złotawej słomy — lub też ciemno-piaskowa główka, a rondko jasne; kapotki słomkowe z płaską główką, mocno wywinętą w tyle, a czasem w górze spiczasto zakończone — zawsze maleńkie, są także bardzo zręczne w magazynie pana Lotha, przybrane pięknymi kwiatami tejsze fabryki i wstążkami. Muszę tu zwrócić uwagę czytelniczek Bluszczu, że kapelusz słomiany, chociażby z najlepszej słomy, raz tylko się daje przerobić — drugi raz słoma jest już tak połamana i podziurawiona szyciem, że się nie daje przerabiać. Oprócz prawdziwych ryżowych, które nie są tak łamliwe, ale też i wyszły z mody.

koronkowy, był bardzo piękny, w tyle zupełnie do figury, z podłużnym wazkim kapturkiem wyłożonym materyą tegoż koloru, przody otwierały się wylogami luźno zupełnie wywinętymi od wykroju szyi do dołu na żadne nie zapięte guziki, a z podspodu ściągnięte na kamizelkę mocno przylegająca. Rękawy lejkowate, dziś najmłodniejsze u okrycia, podszewka mieniąca w tym samym cieniu — piękne to okrycie było w cenie aż 100 rubli. Drugie tańsze, było ciemnego koloru wiśni w kratę, jeden centymetr średnicy mającą, na ślicznej jaśniejszej mieniącej podszewce z kapturkiem, zapięte na dwa rzędy rogowych wiśniowych guzików.

Kapelusze słomkowe, jak zawsze, dla młodych panien, przodują przed innymi, fasony nowe podaliśmy już w piśmie naszym; cechą ich jest wysoka główka, o wiele szersza i już nie tak spiczasta, jak dawniej i rondko albo w kształcie daszka, osłaniające wybornie od słońca, lub też spuszczone z jednej strony, a z drugiej bardzo silnie podwinięte i z kańczastem zakończeniem. Ubrania wszystkie są bardzo wysoko na szczycie główki umieszczone; naturalnie, że owe najpiękniejsze, z pierwszej naszej krawczyńki pochodzące kapelusze, widzieliśmy w fabryce pana Lotha, która od kilkudziesięciu lat przoduje wszystkim innym i rzeczywiście wszystkie, które tam oglądaliśmy i wyrobem i fasonem (słoma jest zawsze dotąd zagraniczna) dorównywiają sprowadzanym, a o wiele są tańsze. Prześliczne oglądaliśmy z odmienną główką, a odmiennym rondkiem, na przykład główka brązowa, rondko ze złotawej słomy — lub też ciemno-piaskowa główka, a rondko jasne; kapotki słomkowe z płaską główką, mocno wywinętą w tyle, a czasem w górze spiczasto zakończone — zawsze maleńkie, są także bardzo zręczne w magazynie pana Lotha, przybrane pięknymi kwiatami tejsze fabryki i wstążkami. Muszę tu zwrócić uwagę czytelniczek Bluszczu, że kapelusz słomiany, chociażby z najlepszej słomy, raz tylko się daje przerobić — drugi raz słoma jest już tak połamana i podziurawiona szyciem, że się nie daje przerabiać. Oprócz prawdziwych ryżowych, które nie są tak łamliwe, ale też i wyszły z mody.

Z tańszych magazynów polecamy czytelniczkom niedawno założony magazyn panny Śliwickiej, Marszałkowska Nr 147, gdzie bardzo ładniutkie widziliśmy kapotki, odznaczające się dobrym gustem, jakiego nabyła panna Śliwicka, pracując lat kilka w jednym z pierwszorzędných magazynów.

L. C.



Nr 2. Suknia wełniana. Obis odwr. str. tabl.

Nr 3. Suknia z woaliny i aksamitu.

Suknia z woaliny i aksamitu.

Rycina Nr 3.

Spódniczka kamlotowa, przybrana jest 400 centymetrów szerokim wolantem z żółtawego woalu, z przodu i na bokach w plisy ułożonym, z tyłu w sute fałdy



zebrany, lewa strona przybrana jest bokiem z brązowego aksamitu, obszytym grelotkami z brązowej sznelki. Szarfy repsowe, 20 cent. szerokie, wysiepane u dołu, zastępują tylnie upięcie. Staniczek z aksamitu, przybrany jest kamizelką z żółtego woalu i grelotkami ze szneli podług ryciny.

gzymisie z gruszkowego drzewa, za pomocą ruchomych kółek. Rycina 11 i 12 w Bluszczu Nr 14 przedstawia wzór na wstawkę i koronkę, do takiej firanki odpowiednią.

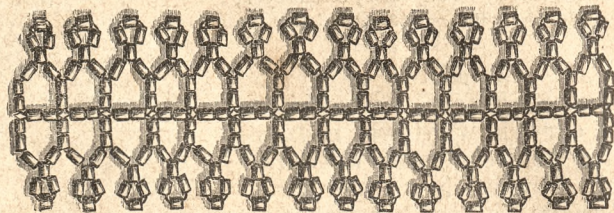
w drugie z rzędu oczko ostatniego słupka, nie-przerabiając, 2 razy po 1 słup. w drugie z rzędu oczko, przyczem górne żyłki tych dwóch słupków przerabiają się z poprzednim słupkiem, od \* trzy razy powtórzyć, w końcu zamiast ostatniego słu., 1 ścis. ocz. łańc. w pierwszy słupek tej kolei, poczem nitkę zamocować i obciąć. Kolej 6: \* 1

### Kwadracik szydełkową robotą.

Rycina Nr 7 w Blu. Nr 20.

Kwadracik ten z krętej bawełny Nr 60, należy rozpocząć od środka. Kolej 1: \* 13 powietrznych oczek, na tych samych z powrotem, 1 oczko opuścić, 12 ścisłych oczek w kolejne 12 o. od \* 3 razy powtórzyć. Kolej 2: \* 11 ścis. ocz. w swobodne żyłki kolejnych 11 ocz., 2 ścis. ocz. w następne oczko, 1 ścisłe ocz. w opuszczone ocz.,

2 ścisłe ocz. w następne ocz., 11 ścis. ocz. w kolejne 11 ocz., przyczem ostatniego oczka nie należy przerabiać, od \* trzy razy powtórzyć, przy każdym powtórzeniu należy pierwsze ścisłe ocz. z ostatniem przerabiać, w końcu 1 ścis. łańc. ocz. w pierwsze o tej kolei. Kolej 3: \* 10 ścis. ocz. w kolejne 10 ocz., 3 ścis. ocz. w następne ocz., 3 ścis. ocz. w następne dwa ocz., 3 ścis. ocz. w następne oczko, 10 ścis. ocz. w kolejnie 10 ocz., nie przerabiając ostatniego oczka, 1 ocz. opuścić, od \* powtórzyć, przerabiając zawsze pierwsze oczko z ostatniem; zakończenie jak w poprzedniej kolei. Kolej 4 w ten sam sposób jak 3 kolej, z tą różnicą, że 3 ścis. ocz. przerabiają się ze środkowem oczkiem poprzednich 3 oczek, w jednym oczku przerobionych. Kolej 5: 3 pow. ocz., 1 słupek w drugie z rzędu oczko, \* 4 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słup. w drugie z rzędu oczko, poczem 1 pow. ocz., 3 słup. po każdym 1 pow. ocz., 2 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słupek w drugie z rzędu oczko, poczem 1 pow. ocz., 3 słupki po każdym 1 pow. ocz., 5 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słupek



Nr 5. Szlak z perełek

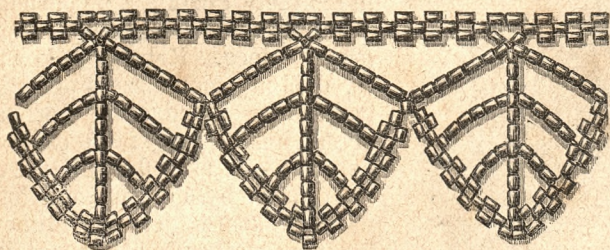
ścis. oczko w narożne oczko jednego ramienia, 8 pow. ocz., 1 potrójny słup., którego górnych żyłek nie należy jeszcze przerabiać, w piąte z rzędu oczko, 1 poczwórny słup., którego górnych żyłek nie należy jeszcze przerabiać, w samo wkleśnięcie, 1 potrójny słupek z przeciwległego boku ramienia, wszystkie 3 słupki razem przerobić, 8 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w narożne oczko drugiego ramienia, 4 pow. ocz., 1 potrójny słupek, 1 poczwórny słupek, po każdym 4 pow. ocz., w piąte z rzędu oczko, 4 pow. ocz., od \* 3 razy powtórzyć, w końcu 1 ścis. ocz. łańc. w pierwsze ocz. tej kolei. Kolej 7: 3 pow. ocz., poczem ciągle naprzemian: 1 słupek w każde oczko poprzedniej kolei, na każdym rogu po 5 słup., w końcu 1 ścis. ocz. łańc. w 3 z pierwszych trzech pow. oczek. Kolej 8: 4 pow. ocz., poczem ciągle naprzemian: 1 słu. w drugie z rzędu ocz., 1 pow. ocz., na każdy rogu po 3 słupki przedzielone jednym pow. oczkiem w końcu 1 ścisłe łańc. oczko w 3 z pierwszych 4 pow. ocz. tej kolei. Kolej 9: \* 3 pow. ocz., 1 podwójny słupek, 1 potrójny słupek, 1 podwójny słupek po każdym 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 5 z rzędu ocz., od \* powtórzyć, na rogach należy opuszczać tylko po 3 oczka, na koniec 1 ścis. o. łańc. w pierwsze z 3 pow. ocz. tej kolei.

### Karczek do koszuli szydełkową robotą z maszynowym szlaczkiem.

Rycina Nr 26 i 27 w Blu. Nr 20.

Karczek ten wykonany jest z maszynowego szlaczku i krętej bawełny Nr 60, przewleczony następnie kolorową wstążeczką atlasową podług ryciny.

Rycina Nr 26 przedstawia część roboty w naturalnej wielkości. Na przednią część karczka potrzeba dwa kawałki 42 cent. długie szlaczku maszynowego; 1 ścis. ocz. w 3 pętelle szlaczku, 30 ocz. pow., 1 ścis. ocz. w 3 pętelle drugiego szlaczku, przyczem robotę odwrócić i na poprzednich ocz-



Nr 4. Szlak z perełek.

### Dwa galoniki z paciorek.

Rycina Nr 4 i 5

Ryciny Nr 4 i 5 przedstawiają dwa galoniki naturalnej wielkości, z paciorek pozłacanych nawlekanych na drucik, mogące służyć do przyozdobienia kapeluszy z brązowego tiulu i słomki, przeważnie zaś na objęcie rondka.

### Firanka do okna.

Rycina Nr 6 i 7

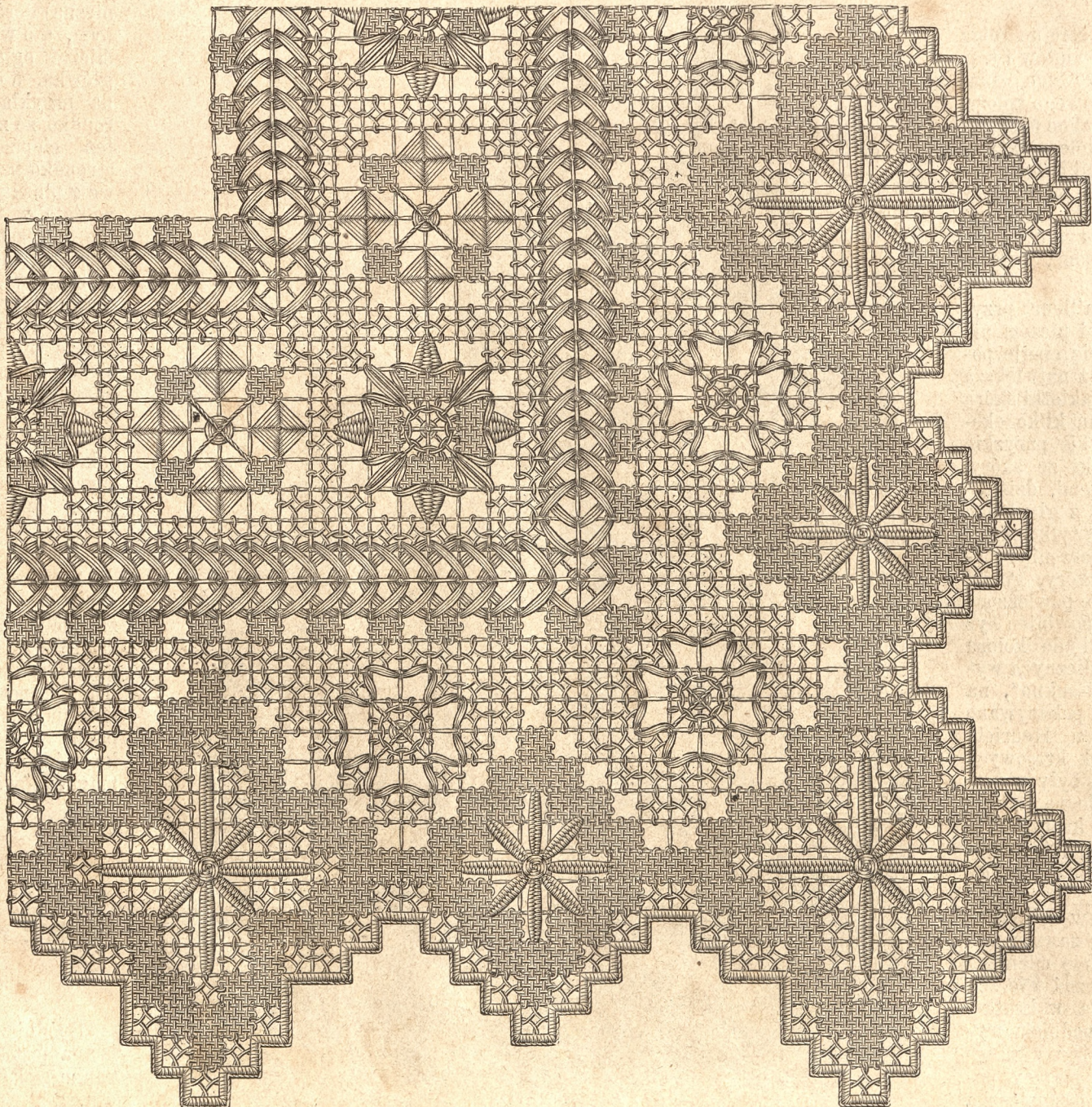
Firanka ta składa się z pluszowej kotary i lambrekina z frendzlą, z pod których wygląda firanka z kremowej kanwy zwanej „kongres“, zakończona szlakiem robotą gipiurową wykonanym. Gzymys rzeźbiony, oraz sznury i kwasty pasmanteryjne, uzupełniają całość podług wskazania ryciny.

Na szlak gipiurowy, którego narożnik podaje rycina Nr 6 w zmniejszeniu, należy wykonać przedewszystkiem tło siatkowe z kremowych nici, poczem temiż niemi należy zarobić siatkę tkackim, cerowanym i koronkowym ścięciem, tudzież osnutemi kółeczkami. Brzeg należy zakończyć ścięciem dzierganym, a następnie powycinać wzdłuż dziergania niepotrzebną siatkę.

### Firanka ozdobiona wstawką i koronką szydełkową.

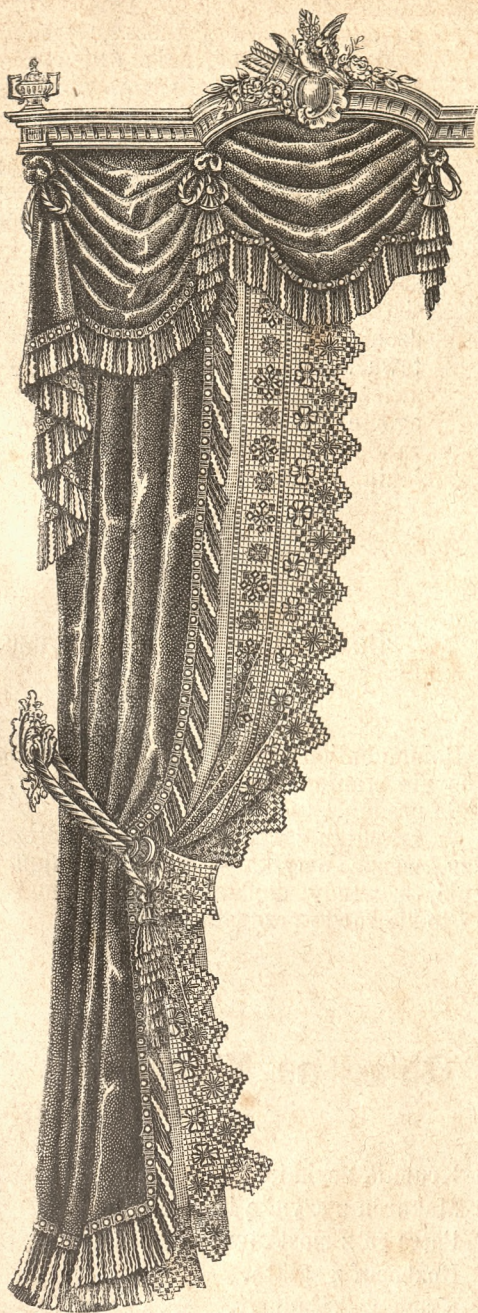
Rycina Nr 8.

Firanka ta złożona jest z pasów kanwy zwanej „kongres“, tudzież wstawki i koronki robotą szydełkową wykonanych. Lambrekin drapowany przyozdobiony torsadą pasmanteryjną z frendzlą, oraz kwastami, uzupełnia całość firanki zawieszonoj na gładkim



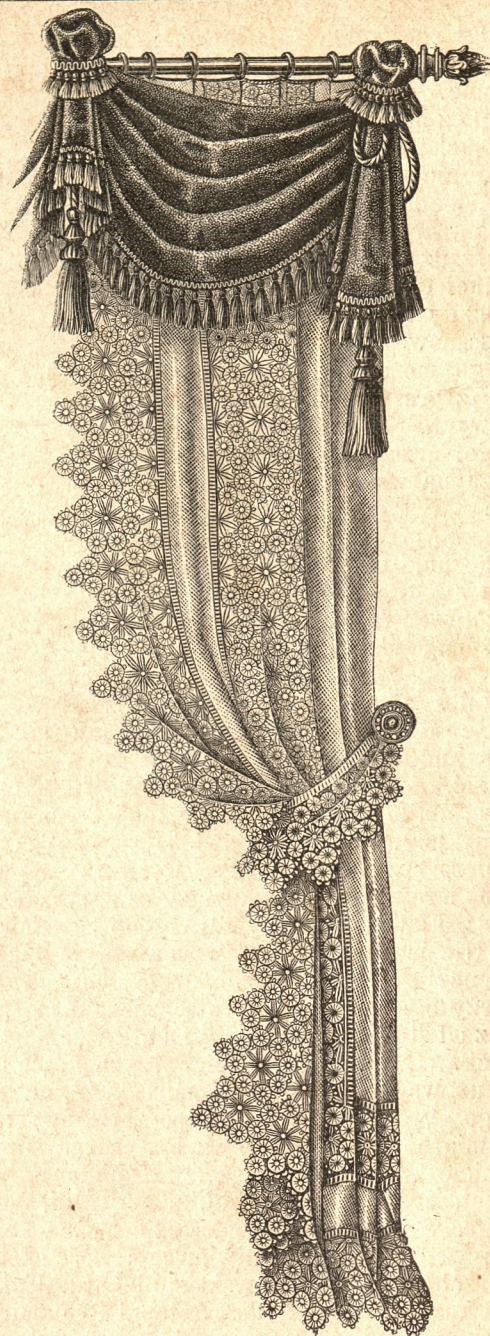
Nr 6. Szlak do ryc. 7 siatkową gipiurą. Zmniejszony.





Nr 7. Firanka do okna. (Do ryc. 6).

słup. w najbliższe 5 pow. ocz., † 1 ścis. ocz. w kolejne 5 ocz. pow., 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w najbliższe 5 pow. ocz., 11 sł. w następne 5 pow. ocz. od † jeszcze raz powtórzyć, poczem 1 ścis. ocz. w 3 pętelkę pierwszego szlaczku, robotę odwrócić, 3 pow. ocz., † 5 ścis. ocz. w środkowe 5 z najbliższych 11 słup., 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w najbliższe 5 pow. ocz., 5 ocz. pow., od † jeszcze raz powtórzyć, poczem 5 ścis. ocz. w środkowe 5 z najbliższych 11 słupków, 4 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w drugą pętelkę drugiego szlaczku, robotę odwrócić, 3 pow. ocz., 3 ścis. ocz. w środkowe 3 z poprzednich 5 ścis. oczek, † dwa razy naprzemian: 5 pow. ocz., 1 ścisłe oczko w następne 5 pow. ocz., 5 pow. ocz., 3 ścis. ocz. w środkowe 3 ocz. z ostatnich 5 ścis. ocz., od ostatniego † powtórzyć, poczem 4 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w drugą pętelkę pierwszego szlaczku, od \* powtarzać. Na tylną połowę karczka w ten sam sposób wykonaną, potrzeba dwa kawałki szlaczku 40 cent. długie, na każdy rękaw potrzebny jest jeden szlaczek 54 centimetrów długi, drugi 48 centimetrów. Na 9 centimetrów od górnego środka rękawa, przypada połączenie rękawa z przednią i tylną połową karczka, poczem należy wykonać koronczkę sposobem następującym. Kolej 1 ciągle naprzemian: 2 podwójne słupki w dwie kolejne pętelki, 4 pow. oczka, 2 pętelki opuścić (we wklęśnięciach robota nie powinna się marszczyć) w końcu 1 ścisłe łańcuszkowe oczko w pierwszy słupek tej kolei. Kolej 2: 2 pow. ocz., 1 podwójny słupek w trzeciej z rzędu oczko, \* 1 pow. ocz., 7 podwójnych słupków w trzeciej z rzędu oczko, 1 pow. oczko, 1 podwójny słupek w trzeciej z rzędu oczko, 1 słupek w 3 z rzędu oczko, górne żyłki obydwóch słupków razem przerobić, od \* powtórzyć, w końcu zamiast ostatniego podwójnego słupka, 1 ścisłe łańcuszkowe oczko w pierwszy podwójny słupek tej kolei. Kolej 3: 6 pow. oczek, 1 słupek w ten sam słupek z którego przerobiono ostatnie łańcuszkowe oczko, \* 3 oczka pow., 3 ścis. ocz. w środkowe 3 z 7 słupków, 3 pow. ocz., 2 słupki po każdym 3 powietrznym oczku, w następnym pojedynczy słupek, od \* powtarzać, w końcu zamiast 1 słupka, 1 ścis. łańc. ocz. w 3 z pierwszych 6 pow. ocz. Kolej 4: \* 1 ząbek z jednego ścisłego oczka, 4 słupki z jednego ścisłego oczka, 1 ząbek z 1 ścisłego oczka i 3 słupków, 1 ścis. oczko, poczem 1 ścis. oczko w środkowe z najbliższych 3 ocz. pow., 1 ścisłe oczko w następne 3 ścisłe oczka, 1 ząbek jak ostatni w najbliższe 3 pow. ocz., od \* powtórzyć, w końcu 1 ścis. łańc. oczko, w pierwsze oczko tej kolei. Po drugiej stronie



Nr 8. Firanka z wstawką i koronką.

kach z powrotem: 3 pow. ocz., 3 ocz. opuścić, † 3 ścis. ocz. w kolejne 3 ocz. 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 3 z rzędu ocz., 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 4 z rzędu oczko, 5 pow. ocz., 2 ocz. opuścić, od † powtórzyć, poczem 1 ścis. ocz. w 4 z rzędu o., 4 pow. o., 1 ścis. o. w 3 z rzędu o., 4 pow. o., 1 o. ścis. w 3 z rzędu pętelkę pierwszego szlaczka, \* robotę odwrócić, 5 pow. o., † 1 ścis. o. w najbliższe 5 pow. o., 11 sł. w 5 pow. o., 1 ścis. o. w najbliższe 5 o., 5 ocz. pow., od ostatniego † powtarzać, poczem 1 ścis. ocz. w najbliższe 3 pow. ocz., 4 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 3 z rzędu pętelkę drugiego szlaczku, robotę odwrócić, 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następne 5 pow. ocz., † 5 pow. ocz., 5 ścis. ocz. w środkowe 5 najbliższych 11 słup., 5 pow. ocz., 1 ścisłe oczko w następne 5 ocz., od † powtórzyć, poczem 4 ocz. pow., 1 ścis. o. w 3 z rzędu pętelkę pierwszego szlaczku, robotę odwrócić, 5 pow. o., 1 ścis. o. w nastę. 5 o. pow., † 5 pow. o., 3 ścis. w środk. 3 następ. 5 śc. o., 2 razy naprzemian: 5 pow. o. 1 śc. o. w następne 5 pow. o., od ostatniego † powtarzać, poczem 4 o. pow., 1 ścis. o. w trzecią pętelkę drugiego szlaczku. robotę odwrócić, 11



Przód.

Nr 9 i 10. Okrycie z repsu „ottoman“  
Krój i opis odwstr. tabl. Nr VIII. fig. 57 — 61.

Plecy.

karczka należy ciągle naprzemian wykonywać po 1 słupku, 1 pow. ocz.

### Kąpiele [balsamiczne z drzew iglastych.

Kąpiele z drzew iglastych, dawniej w użyciu będące, a następnie zupełnie zaniechane, obecnie coraz częściej bywają zalecane przez lekarzy. We wszystkich prawie zdrojowiskach, dziś urządzone są tak zwane „kąpiele igliwowe; nie każdy jednak posiada środki i czas, na dłuższy pobyt, w miejscowościach kuracyjnych, dla tego też praktyczne wskazówki, co do urządzania igliwowych kąpiele w domu, nie jednemu przydać się mogą.

Jakkolwiek kąpiele takie bywają na rozmaite cierpienia przepisywane, działanie ich w niektórych tylko bywa istotnie skuteczne. W reumatyzmach wynikłych z przeziębienia, w pedogrze, w cierpieniach powstających z nieprawidłowego trawienia, a nawet w skrofulach, angielskiej chorobie i ne-



wralgiach, kąpiele balsamiczne, kąpiele igliwiowe, bywają rzeczywiście zbawienne. Działanie ich wzmacniające, również bardzo jest skuteczne w osłabieniach rozmaitego rodzaju, kiedy takowe nie są wszakże połączone z uderzeniem do głowy (congestion).

W zdrojowiskach igliwiowe kąpiele urządzają przez dolewanie do zwyczajnej ciepłej kąpeli, pewnej ilości przez dystrylacją otrzymanego ekstraktu sosnowego. W braku tego ostatniego można kąpiele takie otrzymać z prostego odgotowania igieł sosnowych. Nic łatwiejszego, jak taką kąpiel urządzić sobie w domu, zwłaszcza na wsi lub na letniem mieszkaniu. W tym celu zbierają się młode gałązki sosnowe i jodłowe, a właściwie czubki takowych, które należy pociąć na drobne cząstki, a następnie odgotować w miękkiej wodzie, poczem otrzymaną esencję dolewa się do ciepłej wanny w miarę potrzeby; można również z wieczora pomiać przeznaczone na kąpiel gałązki i zalać takowe na noc wodą, najlepiej gorącą, na drugi dzień płyn przedzić i do kąpeli dolać. Gałązki wiosenne, majowe, najlepsze są na taką kąpiel. Nie należy nigdy używać gałązek świeżo zerwanych, gdyż dopiero przy odleżeniu się, wytwarza się w nich kwas mrówczany, stanowiący nadzwyczaj ważną część składową, kuracyjnej kąpeli balsamicznej.

Nie można określić stanowczo, jakiej ilości essencji sosnowej potrzeba użyć na jedną wannę; zależy to od wieku pacjenta, rodzaju cierpienia, oraz od stopnia gęstości płynu otrzymanego z gałązek. Dla tego też do pierwszych kąpeli trzeba używać nie wielkiej domieszki płynu sosnowego  $\frac{1}{4}$  do  $\frac{1}{2}$  litra na początek wystarczy. W miarę działania i potrzeby, można urządzać kąpiele essencyonalniejsze. Kąpiele igliwiowe miasto nasze posiada w zakładzie leczniczym Dra Fritsche i Dobrzyckiego, gdzie można zarazem nabywać ekstraktu igliwiowego; ilość ekstraktu potrzebnego powinien wskazać lekarz. Taka kąpiel kuracyjna, od 25 do 27 stopni Reaumura mająca, nie powinna trwać dłużej, nad 10 do 20 minut. W cierpieniach astmatycznych nadzwyczaj skutecznie działa, wdychanie balsamicznej pary sosnowej.

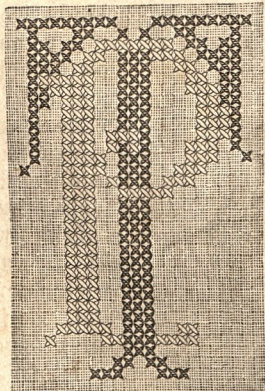
Osoby zdrowe mogą również używać kąpeli igliwiowych, bez szkody dla organizmu, jako też mydeł sosnowych, wełny, pachnideł, gdyż w ogóle wszystkie preparaty sosnowe, posiadają własności higieniczne.

L. C.

## Przepisy gospodarskie.

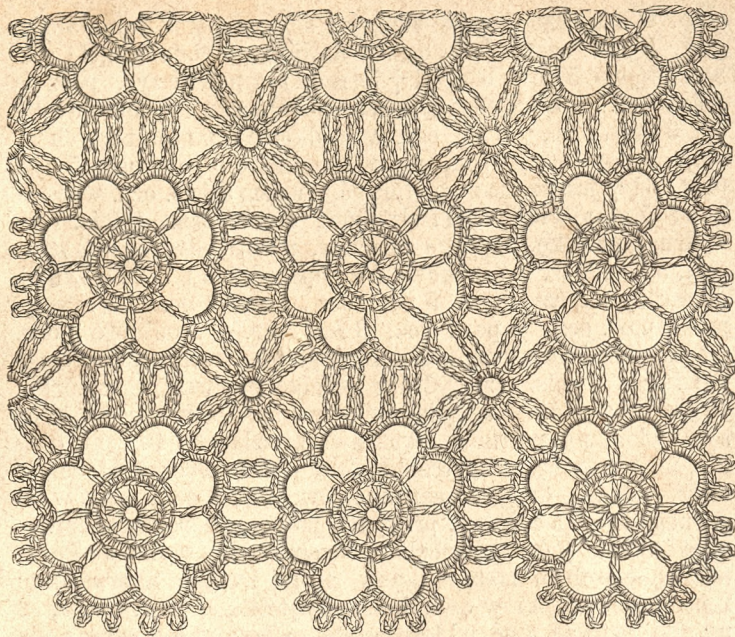
### Purée z grochu.

Na wiosnę, kiedy już kartofle nie dobre i nie można z nich robić „purée“, zastępuje się je gro-



Nr 13. Znak do bielizny.

chem. Kwartę zwyczajnego okrągłego grochu, wsypać w półtoro-kwartowy garnek, nalać miękką wodą i zagotować; gdy się dobrze zaszumuje,



Nr 11. Część szydełkowej roboty do ryc. 12.

bo szumowiny wychodzą na każdej gotującej się rzeczy, odebrać go, czyli odlać tę wodę, w której się gotował, wypłókać w świeżej wodzie, wsypać napowrót w garnek i nalać ciepłą koniecznie wodą — nalawszy go zimną, można gotować sześć godzin, a będzie zawsze twardy — wiem to z własnego doświadczenia. W czasie gotowania włożyć łyżkę masła, jedną białą sparzoną cebulę i jedną pietruszkę. Gdy się już groch na wolnym ogniu dobrze rozgotuje, rozetrzeć go w garn-



Nr 12. Sukienka dla dziewczynki od 2 do 4 lat szydełkową robotą. (Do ryc. 11). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 62 — 64.

ku walkiem, a następnie przetrzeć łyżką przez rzadkie włosiane sito, używane do pasztetów, uważać należy, aby była właściwa ilość sosu w grochu do roztarcia potrzebna, jeżeli się wygotował, dolać gorącej wody. W rondelk włożyć łyżkę młodego masła, zagotować na biało z ćwierć łyżką mąki i gdy się zgęstnie, rozprowadzić pół kwaterekiem słodkiej dobrej śmietanki, tą zaprawą rozprowadzić przetarty groch, włożyć go w gorący rondel, w którym była gorąca woda i rozgrzać pod pokrywą na ciepłej blasze, ale nie na fajerce, bo nic się tak łatwo jak groch nie przypala.

### Soczewica.

Soczewica jest to rodzaj grochu, który się przygotowuje zupełnie jak fasola z sosem kwasowato-słodkawym. Im grubsza, tem lepsza; —

po zagotowaniu jednorazowem odlać wodę, przepłukać, nalać świeżą ciepłą i na wolnym ogniu gotować. Gdy miętka posolić, wziąć na 4 osoby, czyli na pół kwarty soczewicy łyżkę masła zagotować z pół łyżką mąki, dolać octu, rozebrać smakiem z soczewicy, wlać łyżkę cukru palonego, czyli karmelu, wymieszać sos z soczewicą i podać na stół, okładając smarzonemi sosistkami lub plasterkami gorącej wędzonki, którą można w soczewicy ugotować. Można także gotować ją na świeżej wieprzowinie, lub tylko na ognie wieprzowym, kładąc go naturalnie w soczewicę, po odebraniu i nalanu świeżą wodą.

L. C.

### Doświadczenie gospodarskie.

1. Robiąc bulion suchy, nie należy go nigdy solić, bo nie stanie i nie kłaseć włoszczyzny, bo kwaśniej prędko.

2. W krupniku z wódki podanym w Nrze 16 Bluszczu, zasza omyłka — miód powinien się zrumienić, a wtedy dopiero kłaseć masło i lać wódkę i to się zowie przepalanka.

### Obiad na Niedzielę.

1. Krupnik ze śmietaną z koprem.
2. Makaron z szynką i parmezanem.
3. Potrawa z mostków cielęcych.
4. Rozboeuf z sałatą.
5. Krem czekoladowy.

Prosiemy bardzo szanowną prenumeratorkę A. Z. z Tomaszowa Rawskiego, o adres — gdyż długi list czeka jedynie na adres, aby być wysłanym — niepodobna go wysłać pod literami.

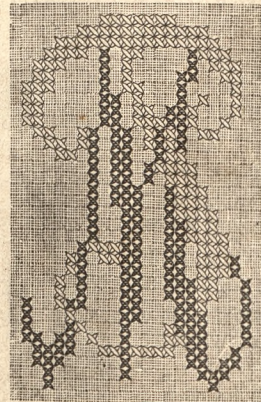
Pani F. Madej.

Funt nasz ma lutów 32, a lut zawiera 12 gramów francuzkich.

P. Ryl... Galicya.

Tak łatwo jest przygotować podpuszczkę (patrz „Jedynie praktyczne przepisy“ wydanie 11), że dziwię się, iż to pani trudność przedstawia, podpuszczka niczem się nie da zastąpić w tym razie.

### Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym nume-



Nr 14. Znak do bielizny.

rze podane, dołączoną była do N-ru 16 Bluszczu.